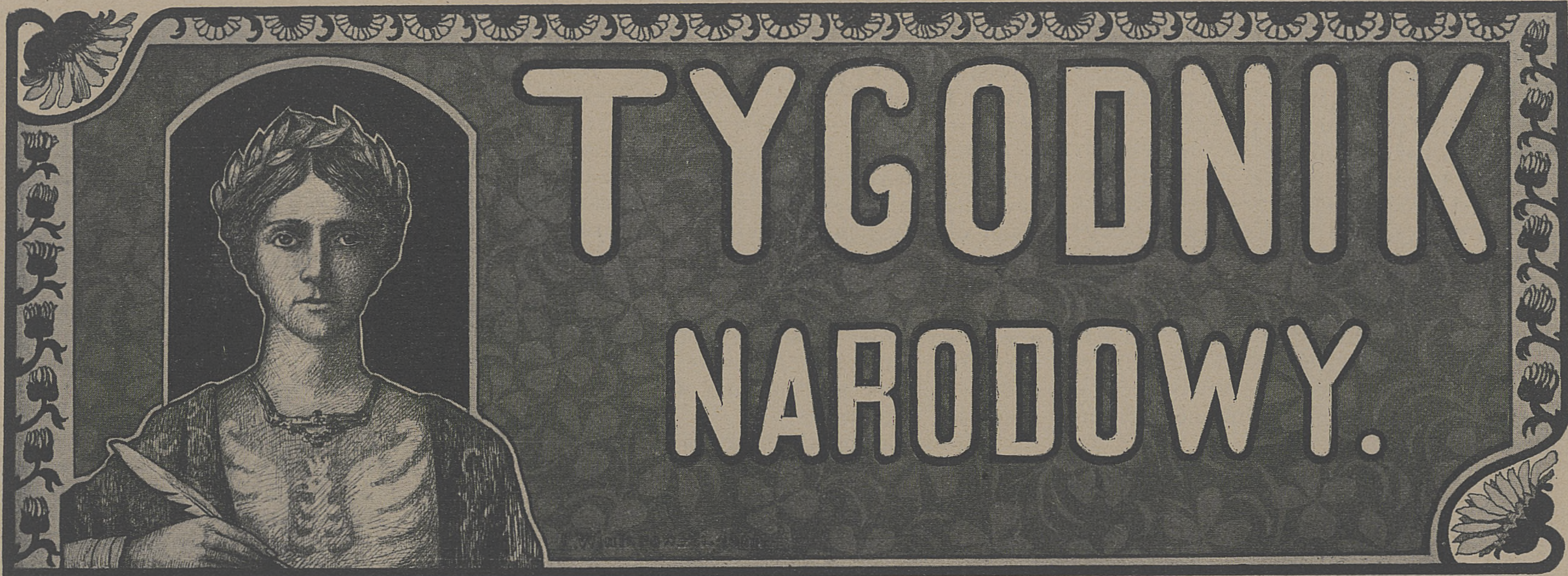
Rok 1900. Lwów, 26. sierpnia. Nr. 46.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 46:

Walka na noże.

Groźne zwiastuny nadciągającego huraganu politycznego pojawiają się na horyzoncie sąsiedniej dzielnicy polskiej — Wielkopolski. Po usunięciu Polaków z urzędów, a języka polskiego z sądownictwa, — po pamiętnych rugach Bismarka, który w zimie pozbawił nagle dachu nad głową tysiące robotniczych rodzin, — po kolonizacyi i wywłaszczeniu włościan polskich, nadeszła teraz kolej na nowy zamach, skierowany tym razem nietylko przeciw polskości, ale przeciw religii: na wyrugowanie polskiej nauki religii, a zastąpienie jej niemiecką.

Rząd przedsięwziął represyjny krok ten zupełnie nagle, bez poprzednich konferencyi z lokalnemi władzami, bez poinformowania się, jak na to się zapatruje społeczeństwo polskie i wreszcie jaką postawę zamierza w tej sprawie zająć władza duchowna, w atrybucye której wkracza nauka religii.

Pośpiech ten wytłumaczyć sobie można jedynie życzeniem uniknięcia wszelkiej argumentacyi przeciwnej strony, — argumentacyi tak silnej, że cały projekt pogrzebać mogła. Rząd nie chciał poprostu słyszeć obrony języka polskiego w nauce religii, aby módz na wszelkie zarzuty ex post czynione zastawić się faktem spełnionym, którego bez naruszenia powagi cofnąć nie można.

I w ten sposób zostało przed dwoma tygodniami wprowadzone w życie rozporządzenie, dotychczas nawet nie opublikowane: wykłady języka polskiego skasowano, religię nakazano wykładać po niemiecku.

Społeczeństwo polskie odpowiedziało na to głośnym protestem i wyrazem oburzenia, a całą sprawę mocno skomplikowała nowa kwestya, która się wyłoniła z naprężonej sytuacyi: kwestya, jak ma się zachować wobec tego duchowieństwo, jak się zachowa arcybiskup.

Gdyby duchowieństwo nie przyłączyło się do ogólnego głosu protestu, zaznaczyłoby tem samem, że staje po stronie rządu: w licznych bowiem szkołach księża są funkcyonaryuszami władzy szkolnej i mieli przed sobą wybór: albo poddać się rozporządzeniu, albo mu się oprzeć. Neutralności zachować nie mogli.

Arcybiskup, przywykły do tego, że głos jego w sprawach politycznych prowincyi miał zawsze dotychczas pewien walor, czuł się dotknięty postępowaniem rządu bez zasięgnięcia jego zdania. Przytem dzisiejszy arcybiskup, — przecież to ten sam ksiądz dr. Stablewski, który w swoim czasie w charakterze posła w sejmie pruskim najenergiczniej protestował przeciw zniesieniu polskiej nauki religii i wyrzekł pamiętne słowa, nie będąc jeszcze wówczas arcybiskupem, że „na zakaz rządu arcybiskup może odpowiedzieć nakazem do księży, aby w kościołach uczyli religii po polsku". Dziś mu to jego zdanie przypomniano.

Poważny czynnik polityczny wszedł w rachubę, gdy arcybiskup zwrócił się do ministerium z zapytaniem, dlaczego to nie porozumiano się z nim przed wydaniem rozporządzenia.

Wskutek ogromnej religijności ludu wielkopolskiego arcybiskup jest pod względem politycznym potentatem, którego ramię sparaliżować może najdalej sięgające zamiary rządu. Zawsze jeszcze tu pełny walor mają słowa arcybiskupa Felińskiego, wyrzeczone do satrapy warszawskiego, który groził, że na zbuntowaną stolicę ze wszystkich dział każe uderzyć, a arcybiskup mu odrzekł na to, że on w takim razie we wszystkie dzwony każe uderzyć. I umilkł satrapa...

Na zapytanie arcybiskupa Stablewskiego została już ogłoszona półurzędowa odpowiedź w „Gazecie kolońskiej", wysoce obrażająca dla arcybiskupa. Stwierdza w niej rząd, że arcybiskup „bezczynnie przypatrywał się temu, jak z nauki religii zrobiono dworek agitacyi polskiej i że zatem będzie się musiał na przyszłość pogodzić z tą myślą, iż rząd nie będzie się troszczył o jego zdanie i jego osobę".

Takie postawienie kwestyi będzie bezwątpienia hasłem do ostrej walki pomiędzy rządem i arcybiskupem. W walce tej niemoże być wątpliwy wynik. Rząd za daleko już zaszedł, aby się miał cofnąć; nie cofnie się też arcybiskup, a że po stronie rządu jest siła, więc odżyją zapewne w nowej edycyi wspomnienia kulturkampfu, powtórzy się zapewne los arcybiskupa Ledochowskiego, który w podobnych okolicznościach dwa lata przesiedział w więzieniu ostrowskiem.

W przededniu tego nowego kulturkampfu, którego charakterystyczną cechą będzie to, iż w harmonijną całość powiąże się w nim obrona polskości z obroną religii, warto zaznaczyć, czego spodziewa się polskość po dalszym przebiegu wypadków. Spodziewa się ona wielkich korzyści i wzmocnienia ducha narodowego.

Duchowieństwo wielkopolskie poniekąd na rozkaz obecnego arcybiskupa, poniekąd zaś z innych pobudek politycznych trzymało się w rezerwie wobec walki narodowościowej. Księża bardziej patryotyczni narażeni byli na prześladowanie nietylko ze strony rządu, ale przykrości ze strony swej zwierzchności duchownej. Walka rządu z duchowieństwem, sprowadzając do jednego mianownika wszystkie siły społeczeństwa i kierując je ku obronie narodowości i wiary równocześnie, zaniesie zarzewie uświadomienia narodowego i zrozumienie potrzeby walki w najniższe, najmniej uświadomione warstwy społeczne i złączy je wszystkie przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi — germanizacyi.

Nie trzeba zapominać, że po dziś dzień duchowieństwo jest tym czynnikiem, który — gdy zechce — najłatwiej i najprędzej zdoła w sercach prostego ludu wzniecić taki pożar walki z germanizacyą, którego łuna i w Berlinie widzialną będzie.

Dotychczas, dopóki chodziło tylko o zagrożoną polskość, pewne sfery duchowieństwa trzymały się dwuznacznej taktyki, która zdawała się mówić: „nie wszczynajcie walki z kościołem, a ostatecznie możemy ze sobą żyć w zgodzie.

Wobec najnowszego wzrotu śmiało rzec można, że stoimy w przededniu politycznej walki n a n o ż e w Wielkopolsce, — walki, z której społeczeństwo polskie wyjdzie uświadomione, silniejsze i skonsolidowane.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Reorganizacya stronnictwa demokratycznego.

W czwartek dnia 23 b. m. zgromadzili się w lwowskiej sali ratuszowej demokratyczni posłowie parlamentarni i sejmowi i mężowie zaufania stronnictwa z wszech stron kraju w liczbie 80 osób. Obrady były poufne. Prezydyum składali: poseł Vayhinger (przewodniczący), poseł Rotter (zastępca przewodniczącego), dr. Ernest Adam i dr. Ernest Bandrowski (sekretarze).

Po zagajeniu Zjazdu przez posła Romanowicza, który w swej przemowie podał charakterystykę działalności partyi w ciągu 5 ostatnich lat — zabrał głos poseł dr. Tadeusz Rutowski celem przedstawienia zebranym projektu programu partyjnego.

Osnowa tego programu jest następująca:

Stwierdziwszy smutny stan kraju, rozprzężenie i bezradność, toczące ustrój krajowy, uznaje się za przyczynę zła stronnictwo konserwatywne, dotychczas dzierżące w swych rękach ster spraw krajowych.

„Demokraci więc stają do walki o p a r c i o s t o s u n e k w z a j e m n e j u f n o ś c i między koroną, która uznała nasze prawa narodowe, a krajem, który w poczuciu własnego interesu narodowego i wspólności jego z interesem państwa stanął na gruncie polityki państwowej, starając się z całą ofiarnością o rozwój wszystkiego, co może wzmocnić potęgę państwa, d ą ż y ć m u s i m y w y t r w a l e i o t w a r c i e d o d a l s z y c h r z e c z y w i s t y c h n a b y t k ó w n a r o d o w y c h, p o l i t y c z n y c h, s a m o r z ą d n y c h, k u l t u r n y c h i m a t e r y a l n y c h d l a k r a j u w i n t e r e s i e z a r ó w n o k r a j u, j a k i p a ń s t w a“.

„W t e m p a ń s t w i e, w t e j r a d z i e k o r o n y, w t y m r z ą d z i e p a ń s t w a d ą ż y ć m u s i m y d o t a k i e g o s t a n o w i s k a, n a j a k i e z n a c z e n i e k r a j u n a s z e g o d l a p a ń s t w a z a s ł u g u j e“.

Następuje szereg zapatrywań co do „niespełnionych narodowych obowiązków wobec Szląska i Bukowiny“, co do opieki rządu nad krajem, podziału gmin wiejskich z obszarami dworskimi w większe gminy zbiorowe; następnie szeroko podnosi program ważność wprowadzenia zmian w ustawodawstwie socyalnem, jak rozszerzenie ubezpieczenia robotników, zabezpieczenie urzędników prywatnych, rozciągnięcie zasady ubezpieczenia na nieudolność do pracy i na starość, zarówno dla robotników, jak dla samoistnych rękodzielników, przemysłowców i kupców, ochrona pracy robotnika, kobiety, dzieci, ograniczenie dnia pracy w górnictwie, przemyśle, rozszerzenie inspektoratu przemysłowego, wprowadzenie inspekcyi żeńskiej, komunalizacya zakładów humanitarnych, zajęcie się mieszkaniami dla ubogich i robotników, zaprowadzenie gminnych domów zastawniczych, łaźni itd. Reforma ustawodawstwa o krajowej opiece nad ubogimi, reforma ustawy o włóczęgostwie, organizacya domów pracy, przytułku, stacyi zaopatrzenia, pomoc dla ubogiej dziatwy szkolnej, dla wykonywania przymusu szkolnego.

Nareszcie omawia program szereg kwestyi mniejszej wagi, natury bardziej specyalnej, które atoli razem wziąwszy stanowią całokształt życia publicznego, bardziej postępowego, acz radykalniejszego niż dotychczas.

Co do taktyki zaś zaznacza program, iż konieczną jest:

1) Łączność i porozumienie w działaniu z innemi stronnictwami demokratycznemi w kraju i z ich posłami w sejmie i w parlamencie, o ile stoją na gruncie narodowym;

2) Zerwanie z t. zw. centralnym komitetem wyborczym;

3) Potrzeba solidarności Koła polskiego we Wiedniu;

P r o g r a m s t r o n n i c t w a j e d n o m y ś l n i e u c h w a l o n o po długiej i wyczerpującej dyskusyi.

Po referacie p. Romanowicza, tyczącym się organizacyi stronnictwa (wydział naczelny składa się z 20 członków: 10 posłów do Sejmu i Rady państwa i 10 mężów zaufania) uchwalono wnioski dra Lewickiego, zmierzające do porozumienia się z innemi stronnictwami demokracyi narodowej, mianowicie:

1) Zjazd przyjmuje z żywem zadowoleniem dokonane porozumienie ze stronnictwem ludowem i poleca swojemu wydziałowi wykonawczemu:

a) stałe porozumienie ze stronnictwem ludowem, celem wspólnej akcyi politycznej;

b) nawiązanie rokowań z innemi stronnictwami demokratycznemi, stojącemi na gruncie narodowym;

2) Zjazd ubolewa nad secesyą kilku posłów z sejmowego klubu demokratycznego jako niezgodną z interesami demokracyi narodowej i przeciwną interesom całego kraju.

Pekin w ręku wojsk sprzymierzonych.

Żadnej nie ulega wątpliwości, że wojska sprzymierzone wkroczyły do Pekinu, a tem samem wyswobodziły posłów i całą kolonię cudzoziemską, która wytrzymała z bohaterską rezygnacyą siedmiotygodniowe oblężenie.

Stolica największego państwa zmuszona jest otworzyć swe bramy nieprzyjacielowi, który wkracza do milionowego miasta, aby ukarać najwyższych władców państwa i ich narzędzia. Ci najwyżsi władcy wraz z narzędziami swojemi uciekają ze stolicy, oddając ją na los przeznaczeń. Olbrzymi kolos na glinianych nogach, który grał wielką rolę w historyi wówczas jeszcze, kiedy dzisiejsi jego przeciwnicy z kolebki dziejowej ledwo wyzierali, albo wcale jeszcze rozkoszy bytu ziemskiego niekosztowali, zachwiał się i przewrócił, dając potęgom cudzoziemskim możność podyktowania mu jego przyszłości.

Armje jego, dowodzone przez najlepszych generałów, jakich posiadał, próżny acz uporczywy stawiły opór. Nierychło dowiemy się, jak licznemi siłami dowodzili generałowie chińscy na przestrzeni pomiędzy Tientsinem a Pekinem, broniąc dostępu do stolicy korpusowi wojsk sprzymierzonych, który nie liczył zapewne więcej nad 20.000 ludzi.

Pochód przeciw Pekinowi rozpoczął się dnia 4 b. m. Zaraz w dniach 5 i 6-ym b. m. rozstrzygnęły się naprawdę losy całej operacyi zbrojnej: wzięcie Peitsangu i Yangtsunu tak zdemoralizowało Chińczyków, że opór ich odtąd z dniem każdym słabnął. Efekt wyrzucenia wojska chińskiego z tych dwóch pozycyj widocznie tak był piorunujący dla Pekinu, że dwór chiński z cesarzową-wdową i księciem Tuanem (nibyto uzurpatorem!) już dnia 7 b. m. opuścił stolicę. Dalsze walki, stoczone przez generałów Tungfuhsianga i Ma w dn. 9, 10, 11 i 12 ym pod Nautsaitsunem, Hohsiwu, Amfingem, Czangkiawanem i Aungezu, miały już tylko na celu opóźnienie pochodu wojsk sprzymierzonych, aby ułatwić dworowi wyniesienie się ze wszystkiem, co było drogocenniejszego. Wojska sprzymierzone ucierpiały daleko więcej od żaru słonecznego, niż od kuli chińskiej.

Gdy w dniu 12 b. m. Japończycy zajęli Tungczu, armia chińska utraciła resztę animuszu i drogą na Shwangkiau uciekła aż pod same mury stolicy, dokąd wojska sprzymierzone podążyły z całym impetem, udaremniwszy kawaleryą próbę odcięcia im drogi odwrotowej. W poniedziałek armia sprzymierzona stała u wschodnich bram Pekinu. W nocy nawiązały pozostałe w mieście władze chińskie rokowania, które bezowocnie wlokły się przez wtorek. W środę uderzono całą siłą na Pekin. Walka zaogniła się raz jeszcze na dobre i trwała przez cały dzień środowy. Wieczorem dnia 15 b. m. Europa stanęła w Pekinie.

Niepowodzenie Anglików.

Walka o niepodległość, którą staczają rzeczypospolite południowo-afrykańskie, jest jedną z najpiękniejszych kart w dziejach nowożytnej historyi. Z początku wiódł swoich do zwycięstwa nad Tugelą stary Joubert, następnie budził podziw generał Cronje walkami pod Belmont, Graspan, Rietfontain i Modder-River. Ci dwaj jednak znikli z terenu walki: Joubert umarł a Cronje znajduje się na wyspie świętej Heleny...

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby wraz z ustąpieniem obu bohaterów, Boerowie byli pozbawieni kierownictwa. Trzej zwłaszcza wodzowie zwrócili na się uwagę: Delaroy, Olivier i Dewet. On to zamyśla uzasadnić zdanie Krügera: „mamy dosyć zapasów na trzy lata i tak długo też będziemy się trzymali“.

W obozie Boerów na nowo rozbudziła się chęć walki. Aby ją gwałtem stłumić, chwyta się Roberts najostateczniejszych środków, a mianowicie pali farmy, czyniąc w ten sposób z Transwaalu pustkowie.

Następnie urządza nagonkę na generała Deweta.

Zręczny dowódca Boerów wydostał się z pułapki, pozostawił za sobą Kitschener'a i Methuen'a, ominął generała Dorrien'a i połączył się z armią Delarey'a. Niepowodzenie to odczuwają w Anglii tem silniej, że obławą na Dewet'a kierował sam sirdar Kitchener.

Równocześnie z telegramem lorda Roberts'a nadeszła do Londynu wiadomość o wielkiej klęsce wojsk angielskich. Donoszą mianowicie, że generał Dewet połączył się z Delarey'em i obaj uderzyli wspólnemi siłami i z dwóch stron na wojsko angielskie. Zwycięstwo było zupełne. Boerowie zdobyli 7 dział i wzięli 4.000 Anglików. Wiadomość o tak świetnem zwycięstwie brzmi cokolwiek nieprawdopodobnie, jakkolwiek zważyć trzeba, że wojsko angielskie znajduje się w stanie rzeczywiście opłakanem, jest rozstrzelone na mniejsze oddziały, a tacy dwaj wojownicy, jak Dewet i Delarey są zdolni do przeprowadzenia nadzwyczajnej akcyi.

Natomiast donosi marszałek Roberts, że Boerowie uderzyli 15 b. m. pod Heilbronnem na armię generała Hunter'a i odparli ją z ciężkiemi stratami. Mieli oni ze sobą 6 dział polowych. Heilbronn znajduje się w samym środku republiki Orańskiej, którą po bohaterskim odwrocie Dewet'a uważano za oczyszczoną już zupełnie z wojsk hollenderskich. Stwierdzony urzędownie wypadek ten dowodzi, że nie można ufać zapewnieniom angielskim o dokonanej „pacyfikacyi" kraju, a z drugiej strony, że Boerowie posiadają jeszcze stosunkowo silną armię.

Aby pobić generała Hunter'a, trzeba było mieć co najmniej 3.000 ludzi, pod powództwem Dewet'a znajduje się 3,500, pod dowództwem Delarey'a około 5,000. Oprócz tego posiadają Boerowie jeszcze na wschodzie w górach pod Lydenburgiem 10.000 ludzi znajdujących się pod rozkazami naczelnego wodza, generała Bothy. Siły ich zbrojne wynoszą więc co najmniej 20.000 ludzi.

Zatarg bułgarsko-rumuński.

Knowania komitetu macedońskiego w Sofii naraziły Bułgaryę na ciężki i przykry zatarg z Rumunią. Pewien przyjezdny Bułgar zamordował na ulicy Bukaresztu profesora rumuńskiego Mihaileona, a pojmany oświadczył, że popełnił morderstwo z przyczyn patryotycznych. Śledztwo, wytoczone przez rząd rumuński, wykazało, że zamach był ułożony przez komitet macedoński w Sofii, a u jednego z aresztowanych Bułgarów, dziennikarza Kozakowa, znaleziono list, który kompromituje w wysokim stopniu bułgarskiego ministra spraw wewnętrznych, bo dowodzi, że minister ten opiekuje się rewolucyonistami bułgarskimi w Bukareszcie.

Zamordowanie Mihaileona nie jest wypadkiem odosobnionym. Zbrodnie takie z motywów politycznych powtarzają się dość często i były już niejednokrotnie przedmiotem zatargów dyplomatycznych. Z powodu zamordowania Mihaileona, minisryum rumuńskie wystąpiło obecnie w formie jeszcze więcej stanowczej, a mianowicie zawezwało rząd bułgarski, aby przedsięwziął odpowiednie środki przeciw rewolucyonistom macedońskim w Sofii i zapobiegł ich zbrodniczym knowaniom.

Prasa rumuńska oświadcza, że ministrowie i urzędnicy bułgarscy znają bardzo dobrze działalność komitetu macedońskiego i popierają go w pracy rewolucyjnej. Ministeryum w Bukareszcie zaś domaga się, aby rząd bułgarski dał dowód swej szczerości i wytoczył komitetowi macedońskiemu śledztwo, z powodu świeżego nadużycia popełnionego w Sofii, a mianowicie próby wymuszenia od poddanych rumuńskich w Bułgaryi sumy 30.000 fr. Rząd rumuński oświadcza, że nie ustąpi, dopóki nie otrzyma zupełnego zadośćuczynienia, i odwoła się do pomocy państw, którym zależy na tem, aby na Bałkanach zapanował spokój i stosunki prawidłowe. Zatarg zaostrza się coraz więcej, i zdaje się, że trzeba będzie rzeczywiście stanowczego wystąpienia Austryi, aby skłonić rząd bułgarski do uwzględnienia słusznych żądań Rumunii.

Misye chrześciańskie w Chinach.

Obliczają, że na całej kuli ziemskiej jest obecnie katolików 270 milionów, protestantów 170 mil., a grecko-oryentalnych 110 milionów, a wogóle, wliczając wszystkich sekciarzy, — 550 milionów chrześcian. Poza chrześcianami znajduje się 220 milionów mahometan i 830 milionów pogan. Do tych ostatnich zaliczają się brahmani, buddyści, konfucyani, laotseowie itd., którzy stanowią przeszło 400 milionową ludność państwa chińskiego.

Tę to ludność od najdawniejszych czasów starają się pozyskać dla siebie wyznawcy kościołów chrześciańskich. W paryskiej bibliotece narodowej znajduje się *facsimile* rękopisu chińskiego, którego pochodzenie sięga r. 635. Manuskrypt ten stwierdza, że już wówczas głoszono religię chrześciańską w Chinach.

Ogólna liczba misyonarzy dosięga 800, pomiędzy tymi zaś znajduje się 400 Chińczyków, będących już kapłanami. Chrześcian-Chińczyków liczą na 7-800.000 dusz; kościołów zaś i kaplic jest ogółem 3000. Najwięcej misyonarzy wysyłają francuskie stowarzyszenia misyjne. Takich jest obecnie na terytoryum chińskiem 600; mają przeszło 600 kaplic, 800 szkół i apostołują nad 200.000 zgórą chrześcian. Jezuici posiadają wikaryaty w Kiang-Nam i Han-Kong z 60 misyonarzami, 900 kaplicami, 900 szkołami i 125.000 wiernych. Franciszkanie, rekrutujący się przeważnie z Włochów, są zastąpieni przez 80 misyonarzy, obsługują 50 kaplic i 80.000 chrześcian. Oprócz tego są stacye misyjne Niemców w Szantuug, dalej Belgijczyków i Dominikanów.

W sprawie korespondencyi z prowincyi.

W jednym z ostatnich numerów *Tygodnika* spotkałem się z artykułem recenzyjnym z kwestjonaryusza p. St. Koszutskiego, wydanego w Warszawie, p. t. „O czem pisać korespondencye z prowincyi?" Sprawa istotnie ważna, szczególnie dla dzienników, którym oczywiście bardzo zależeć powinno na zorganizowaniu sobie obfitych źródeł informacyjnych w kraju, przedewszystkiem zaś na zapewnienie sobie w ważniejszych jego punktach i w większych miastach prowincyonalnych umiejętnych i zaufania godnych korespondentów. Jest to rzecz niełatwa; fachowych dziennikarzy bowiem na prowincyi, pojmujących doniosłość swojego zadania, policzyć można na palcach jednej ręki, resztę stanowią ludzie dobrej woli, mający przyjemność w tem, że korespondencyą swoją pismo, którego są prenumeratorami, zasilają. Są to ludzie bardzo rozmaitego stopnia inteligencyi i z doświadczenia redaktorskiego my, zawodowi dziennikarze wiemy, ile trudu nieraz jednej korespondencyi takiej trzeba poświęcać, ażeby ją uczynić możliwą do druku. Najłatwiej byłoby oczywiście napisać na podstawie takiego nieudolnego manuskryptu nową korespondencyę, tego się jednak robić nie powinno i dobry redaktor tego nie uczyni. Zdanie korespondenta powinno się zawsze szanować i o ile się tylko da, oryginalny sposób jego pisania, poglądu i wyrażenia się, zachować, a statystycznie ją tylko umożliwić i do druku przysposobić.

Uszanowanie to idywidualności korespondenta zobowiązuje go i czyni z niego bardzo wytrwałego i ochotnego współpracownika. Niestety, sekretu tego młodzi redaktorowie nasi nie znają i czynią raczej wszystko, ażeby takiego przyjaciela i sojusznika pisma sobie zrazić i zniechęcić. Nietylko, że korespondencye, przez takich przygodnych współpracowników i woluntaryuszów, w niemiłosierny sposób amputują, częstokroć na swój sposób nicują, zmieniając w nich istotną treść i tendencyę, ale wprost je ośmieszają, w sposób często dla tych przyjaciół pisma bolesny i niezasłużony.

Wielkim błędem, również często przez młodszych redaktorów i wydawców popełnianym, jest przypuszczanie korespondencyj z prowincyi od kogokolwiek. Często ma dziennik stałego swojego korespondenta w jakiemś mieście prowincyonalnem, czyni go zatem niejako swoim mężem zaufania. Korespondent ów obsługuje pismo bardzo sumiennie i bez zarzutu, naraz spotyka się w tym samym dzienniku, którego jest reprezentantem w owem mieście, gdzie go wszyscy ludzie, jako takiego znają, z korespondencyą zupełnie mu obcą, z której treścią jako człowiek uczciwy i rzetelny za żadną cenę godzić się nie może. Co bardziej, w tej samej sprawie zabierał on głos, wykazując wszystkie złe i szkodliwe jej strony. Naraz korespondencya z pod nieznanego mu pióra, zachwala to samo, co on zwalcza, podnosi to, co on piętnuje, z oczajduszów robiąc „szanownych obywateli", a z rzetelnych i prawych ludzi—łajdaków.

Proszę sobie wyobrazić wówczas położenie takiego korespondenta i usposobienie jego dla redakcyi pisma, której on tylekrotne złożył dowody wiernej służby i obywatelskiego sposobu pełnienia swoich obowiązków. Jest ono poprostu rozpaczliwe. Musiałby chyba stać przez trzy dni na rynku i zapewniać każdego z osobna, że on tej korespondencyi, sprzecznej z jego poglądami i dawniejszemi enuncyacyami nie pisał. Prosi redakcyę o zanotowanie, że korespondencya ta nie wyszła z pod jego pióra, redakcya tego jednak nie czyni, bo cóż tam kilku, bardzo młodych nieraz panów redaktorów, obchodzi, że się komuś wyrządziło boleść i skrzywdziło się kogoś na honorze.

Na temat tych korespondencyj z prowincyi, będących częstokrotnie źródłem tysięcznych zamieszek w miejscowościach, skąd one pochodzą, złamania życia niejednej egzystencyi, powaśnienia najserdeczniejszymi węzłami powiązanych osób i rodzin, na temat ten dałoby się napisać niewyczerpany istotnie szereg artykułów.

Prawda, że o dobre korespondencye trudno, bardzo trudno, ale uczciwych ludzi i uczciwych korespondentów, dzięki Bogu jeszcze nie brak i od redakcyj pism zależy, ażeby z tych właśnie stworzyć sobie rzetelnych współpracowników na prowincyi, mając ich zaś raz, umieć ich cenić i do pisma raz na zawsze przykuć i przywiązać.

Do kwestyi tej dołącza się jeszcze sprawa wynagrodzenia.

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy można było żądać od ludzi pracy, świadczeń za darmo. To samo tyczy się pracy dziennikarskiej i korespondencyj z prowincyi. Nie mówię o korespondencych pojawiających

się ze wsi lub miasteczek, ale z większych miast prowincyonalnych, skąd codziennie płyną wiadomości. Te trzeba płacić i uczciwie honorować i nie spuszczać się na żadne „durniczki“; punkt ciężkości dziennikarstwa krajowego bowiem przeniósł się faktycznie na prowincyę, która też w znacznej części je żywi.

Rozumiejący swój interes wydawcy i redaktorowie wiedzą to dobrze.



W-ek.

Pogadanki społeczne.

Dzienniki doniosły, że uniwersytety szwajcarskie, które pierwsze otworzyły swoje podwoje kobietom, zaczynają obecnie czynić pewne utrudnienia przy przyjmowaniu cudzoziemek. Uniwersytet zurychski wydał niedawno rozporządzenie, że odtąd tylko te kobiety będą na uniwersytetach przyjmowane jako zwyczajne słuchaczki, które wykażą się świadectwami z odbytych studyów w takim zakresie, jaki odpowiada maturze szwajcarskiej. Kandydatki mają dalej udowodnić, że znają dobrze dwa języki nowożytne t. j. niemiecki i francuski, nadto mają się wykazać znajomością języka łacińskiego i greckiego i to w tym stopniu, jaki da się osiągnąć po odbytym kursie gimnazyalnym. Jeden z języków starożytnych może zastąpić znajomość trzeciego z języków żyjących, a więc angielskiego lub włoskiego.

Wprawdzie motywuje się to ograniczenie tem, że wiele cudzoziemek przyjeżdżało do uniwersytetu, nie mając dostatecznego wykształcenia, przez co obniżał się i poziom nauki wogóle i poważanie dla instytucyj naukowych szwajcarskich się zmniejszało, jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jest to skutek agitacyi pangermańskiej.

Pamiętamy wszyscy, jak przed dwoma laty korporacye studenckie w Niemczech rozpoczęły szaloną agitacyę za niedopuszczaniem do niemieckich wyższych zakładów naukowych studentów narodowości polskiej, wywieszając bardzo niemądre hasło: „uniwersytety niemieckie dla Niemców“. I słyszeliśmy, jak razem z okrzykami „Hoch Bismarck“ wznosiły się jeszcze częstsze „Nieder mit den Polacken“.

Orgie hakatystyczne znalazły nowe ujście.

Nie dość było wydzierać Polakom gwałtem ziemię ojczystą, nie dość było zabraniać dzieciom polskim mówić, modlić się i śpiewać pieśni w języku rodzinnym, nie wystarczały procesy, wytaczane kataryniarzom za granie „Boże coś Polskę“ lub procesy o rozmaite zbrodnie polityczne, — kultura junkrów pruskich wynalazła nowy środek gnębienia Polaków. Zdało im się niebezpiecznem dla „porządku publicznego“, jeśli Polacy na uniwersytetach niemieckich zapoznają się z ideałami Fichtego, Feuerbacha, Hegla.

I szło to hasło dalej, budząc z uśpienia senne dusze potomków tych, co w r. 1848 ciągnęli własnemi rękami rydwan Mierosławskiego okryty kwiatami, wznosząc okrzyki „Noch ist Polen nicht verloren“. Student niemiecki, który po za knajpą nie widział życia społecznego, znalazł swój ideał...

Że ta agitacya w pierwszym rzędzie samym Niemcom i ich miastom uniwersyteckim szkodzi, nad tem się nie zastanawiano. Szał antypolski tak zaciemnił umysły, że nawet nie bierze się w rachubę strat, jakie ponieść muszą miasta niemieckie wskutek zmniejszenia się frekwencyi słuchaczów na ich uniwersytetach.

Dość, że i Szwajcarya dotąd wolna od wszelkich przymieszek szowinistycznych, zaraziła się antypolskim jadem. Bo jest rzeczą pewną, że najnowsze to rozporządzenie uniwersytetu zurychskiego o cudzoziemkach zwraca się w pierwszej linii przeciw Polkom, które obok Rosyanek dostarczały uniwersytetom szwajcarskim najliczniejszego kontyngentu słuchaczek. Wszystkie te kobiety, dla których duszną była atmosfera Królestwa i Rosyi, i te, przed któremi były zamknięte świątynie wiedzy w Austryi, dążyły do Szwajcaryi. Toteż wszystkie prawie kobiety, które obecnie w pracy umysłowej naszego społeczeństwa wybitny biorą udział, wszystkie one prawie w swem poszukiwaniu źródeł prawdy i światła, zawadziły o Genewę lub Zurych.

Ale równocześnie prawie z tem rozporządzeniem rozeszły się wieści, że uniwersytety austryackie mają już od najbliższego roku szkolnego dopuścić kobiety do studyów medycznych. Gdyby się sprawdziły, mielibyśmy rekompensatę za stratę Zurychu.

Kwestya otwarcia uniwersytetów dla kobiet w Austryi błąkała się długo po rozmaitych biurach szefów ministeryalnych.

Szlendryan biurokratyczny nie pozwolił, by sprawa roztrząsana bardzo obszernie w setkach artykułów dziennikarskich, na rozmaitych zgromadzeniach, posiadająca już za sobą literaturę o tysiącach tomów w rozmaitych językach, wcześniej została załatwioną. Dopiero energiczniejszy minister Hartel, człowiek podobno o europejskim umyśle, wziął się do rzeczy seryo i wszelkie dane przemawiają za tem, że doprowadzi ją do skutku. Na jego wezwanie zwołana Najwyższa Rada sanitarna wydała orzeczenie, że byłoby rzeczą pożądaną, aby kobiety mogły mieć otwarty dostęp do studyów lekarskich i farmaceutycznych.

W ten sposób miałyby kobiety otwarte dla siebie już dwa fakultety t. j. filozoficzny i medyczny, chodziłoby tylko o prawniczy.

I ta zdaje się sprawa również pomyślnie zostanie załatwioną. Minister oświaty wysłał do wszystkich senatów uniwersyteckich zapytanie w tym kierunku z prośbą o opinię. Wiemy już jaką odpowiedź dał fakultet wiedeński. Znakomity profesor Dr. Bernatzik przedłożył ministerstwu bardzo obszerny memoryał, w którym zasadniczo zgadza się na to, by i wydział prawniczy był dla kobiet dostępny.

Przypuszczać należy, że podobną opinię przedłoży większość senatów, a wtedy kwestya studyów uniwersyteckich dla kobiet byłaby załatwioną i Austrya zbliżyłaby się trochę przynajmniej do państw cywilizowanych.

Nawet w Rosyi już zasada dopuszczania kobiet do studyów na wszystkich wydziałach zyskała sobie prawo obywatelstwa.

Czytałem niedawno, że w Moskwie powstaje uniwersytet specyalnie dla kobiet przeznaczony, i że plan studyów już został zatwierdzony przez Radę państwa. Rzecz pewna, że jest to tylko ten sam liberalizm opiekuńczego rządu, który dobrym jest dla Rosyan, a nie dla mieszkańców „przywiślańskiego“, kraju, ta sama chęć uchodzenia za Europę, jaką rząd carski w wielu sprawach okazuje, ale jest faktem, że Rosya wyprzedziła tu Austryę.

Moskwa ma na uniwersytet ofiarować rocznie 5000 rubli na najem lokalu, państwo ma obowiązek utrzymać dyrektora i inspektorki, resztę wydatków pokrywają sumy, złożone przez słuchaczki i dobrowolne datki.

A u nas ciągle jeszcze słyszy się skargi i narzekania na „emancypacyę kobiet“, nie ma się zrozumienia dla przewrotu, jaki się dokonał w stosunkach ekonomicznych, społecznych, wogóle kulturalnych we wszystkich krajach cywilizowanych, do których i my się przecież chcemy zaliczać. Zawsze jeszcze ostatnim argumentem u wielu jest, że „kobieta winna być kapłanką ogniska domowego“, a zapomina się przytem o jednej rzeczy, którą chcę tu mimochodem poruszyć, nie mając wcale zamiaru obecnie pisać traktatu o t. z kwestyi kobiecej, czyli młócić słomy już tylekrotnie bardzo dobrze wymłóconej. Życie zrobiło daleko więcej, niż najsilniejsze i najgłębsze książkowe i nieksiążkowe dowodzenia.

Otóż chciałem czytelnikom pokazać statystykę austryacką, a mianowicie tę jej stronę, która mówi o ludności, zamieszkującej monarchię. Z niej przekonywujemy się, że według spisu ludności dokonanego w r. 1890 było mężczyzn cywilnych 11,501.622, a kobiet 12,206.284, czyli że na 1000 mężczyzn cywilnych przypada 1061 kobiet. Jeśli od sumy mężczyzn odliczymy duchowieństwo świeckie i zakonne, cyfra kobiet w stosunku do cyfry mężczyzn jeszcze się podniesie.

Widzimy więc, że wskazywanie kobietom ogniska domowego, jako jedynego dla nich właściwego miejsca, jest nawet trochę brutalnem, jeśli kobiety te ogniska domowego nie są w stanie założyć, mimo może nawet szczerych chęci.

Ale mówią sobie ludzie, że w razie zupełnego zrównania kobiet z mężczyznami pod względem praw, kobiety będą uprzywilejowane co do obowiązków, bo nie będą odbywały ciężkiej służby wojskowej.

Na zarzut ten znajdujemy u kobiet samych bardzo ciekawą i charakterystyczną radę.

W znanem piśmie niemieckiem „Zukunft“, wydawanem przez nieprzyjaciela Bismarka Hardena, znajdujemy artykuł pióra cenionej pisarki hr. Bülow. Autorka proponuje, by, jak mężczyźni odbywają jednoroczną służbę wojskową, tak kobiety obowiązkowo były zajęte przez rok cały w szpitalach, ogródkach fröblowskich, szkołach i czytelniach ludowych, herbaciarniach i t. p. zakładach podług upodobania i zdolności. Sądzi ona, że kobieta przez tę pracę społeczną spełni swój obowiązek, a bliższe zapoznanie się i bezpośrednie zetknięcie z nędzą, ścisłe wykonywanie obowiązków, daleko lepiej przysposobi ją do życia, aniżeli cieplarniane życie w salonach lub w denerwującej atmosferze balowej i buduarowej.

Rzecz pewna, że projekt ten nie wejdzie w życie, albo przynajmniej nie prędko, ale jest charakterystyczny z tego względu, że rzuca jasny promień na duszę tych kobiet, które dążą do zrównania swoich praw z prawami mężczyzn. Dowodzi, że kobiety te pełne są poczucia obowiązków swoich względem społeczeństwa i chcą nie przywilejów dla swej płci, ale pełnej odpowiedzialności pracy.



Dr. Kazimierz Rakowski.

Rok 1846. ✱ ✱ ✱ w Poznańskiem.

(Dokończenie).

W połowie 1846 roku zaczęto zwozić więźniów z rozmaitych stron do Sonnenburga. Było to więzienie, przeznaczone dla zbrodniarzy, wyprzątnięto jednak jedno ze skrzydeł gmachu i oddano na tymczasowe pomieszczenie więźniów politycznych. — Wprawdzie w Sonnenburgu rozpoczęto już z niektórymi więźniami indagacye, właściwe jednak śledztwo miało się odbyć w Berlinie. Sonnenburg był tylko etapem. Do Berlina przewożono więźniów pojedynczo ekstrapocztą i to w ten sposób, aby przybywali do stolicy wieczorem. Tu wszystkich oskarżonych pomieszczono w więzieniu Moabicie. We wrześniu 1846 zaczęły się indagacye spiskowych. Tylko Wł. Kosiński i Ludwik Mierosławski byli przesłuchiwani w pierwszej połowie 1846. roku, zdaje się w czerwcu. Na zeznaniach tych dwóch głównych spiskowych, t. j. Mierosławskiego i Kosińskiego oparł się wątek śledztwa. Z pierwotnie aresztowanych 700 osób, było postawionych w stan oskarzenia 254. Z pomiędzy 254 oskarzonych było:

5 właścicieli,
42 włościan,
9 dzierzawców,
1 oficer,
5 podoficerów,
2 szeregowców,
45 rzemieślników,
18 uczniów,
10 duchownych,
9 studentów,
10 uczniów seminaryum,
5 lekarzy,
5 nauczycieli i
7 kupców.

Reszta składała się z osób rozmaitego zawodu, komorników, zagrodników, sług, restauratorów.

Cokolwiekby można przytoczyć na obronę Mierosławskiego, faktem jest, że on zeznaniami swemi najwięcej obciążył współoskarżonych. Użyto wobec niego, jak się zdaje, tego samego podstępu, co wobec Wiesiołowskiego w Galicyi, któremu dla wyłudzenia zeznań, przedstawiono sfałszowane zeznania Mierosławskiego. I Wiesiołowski zeznał wszystko, nawet to, o czem nie wiedział. Zeznaniami Wiesiołowskiego, zdaje się, pobudzono Mierosławskiego do niedochowania tajemnicy, zapomocą zeznań Mierosławskiego zaś, wydobyto z Wł. Kosińskiego wszystko, co tylko chcieli wiedzieć inkwirenci. Co prawda, Mierosławski nigdy się nie przyznał do tego, że dał z siebie wyłudzić zeznania, a postąpienie swoje motywował tem, że system „wyłgiwania się“ uważał za ubliżający, w czem bezwątpienia miał pewną racyę; zachowanie godności jednak, nawet w tak idealnie pojętym obowiązku przyznawania się otwarcie — nie wymagało od niego wcale obciążania towarzyszy niedoli, których jednakowoż obciążył swemi zeznaniami tak dalece, że w oskarzeniu swem prokurator później powoływał się na niego, aby przekonać sędziów o winie licznego szeregu głównych oskarzonych, a podczas śledztwa przedkładano większej części oskarzonych słowa Mierosławskiego i tych, co za jego przykładem poszli, chcąc od nich przyznanie się do winy wydobyć. Wszelkie prawdopodobieństwo ma za sobą wersya, że badający Mierosławskiego radca policyjny Dunkier, podszedł Mierosławskiego upewnieniem, że jest niepodobieństwem dla rządu, karać tylu oskarzonych i że wskutek tego musi nastąpić amnestya, którą król pruski postanowił udzielić oskarzonym, lecz przed jej ogłoszeniem chce mieć dokładną wiadomość o celach związku i jego rozgałęzieniu; wobec tego więc, w im obszerniejszych rozmiarach związek się przedstawi rządowi, im więcej osób będzie skompromitowanych, tem łatwiej nastąpi przyrzeczona amnestya.

Rzecz jasna, iż przy śledztwie każdy z główniejszych obwinionych miał zeznania jego przeciw sobie. Powszechne powstało oburzenie, jakkolwiek znalazło się kilku uwięzionych, którzy za jego idąc przykładem, też całą prawdę wyznali. Zeznania Mierosławskiego, mogły dla każdego z nich niejakiem być usprawiedliwieniem przed sobą; mogli nawet nieprzewidywać srogiego wyroku potępienia, jaki na nich współoskarzeni i opinia kraju wydać miała. Taki obrót sprawy wprowadził wszystkich w fatalne położenie wobec tego, że większość postanowiła się nie przyznawać do winy. Wszyscy ci, którzy dali się pociągnąć do zeznań pod śledztwem, byliby musieli stawać przed oczy oskarżonym przez siebie współwięźniom i nietylko przeciw nim świadczyć, ale, co gorsza, i oskarżać ich publicznie przed sądem pruskim. Chodziło więc głównie o odwołanie poczynionych już zeznań, co już nawet im samym, ani oskarzonym przez nich współziomkom, dopomóc nie mogło, ale o tyle były ważne, że cofnąwszy się, nie było już trzeba stawać przed oczy wszystkim, pod śledztwem oskarżonym.

Na pierwsze namowy Adolfa Malczewskiego, Mierosławski odpowiedział dumnie, że demokracya wojująca, do której on należy, przyznaje się otwarcie do zamiarów swoich; że postąpił w obecnej sprawie, jak mu ze stanowiska, które zajmował, postąpić należało; że inni powinni pójść za jego przykładem i przyznać się do wszystkiego, bo tego wymagała godność narodowa. Wreszcie widząc, że sam jeden musiałby przed sądem wystąpić w roli oskarzyciela rodaków, gdyż wszyscy inni postanowili przed sądem swe zeznania odwołać, zmuszony był i Mierosławski również to uczynić.

MAŃKOWSKI KONSTANTY.



DNI KWIECIA.

Prawie w półtora roku po pierwszych aresztowaniach, dnia 2. sierpnia 1847 roku wytoczono sprawę spisku poznańskiego przed forum, specyalnie w tym celu ustanowionego trybunału. Proces wywołał senzacyę w całej Europie, wywołał on bardzo silne wrażenie w kraju w tych warstwach, które dotychczas mało się interesowały sprawą narodową, a echa tych wrażeń niejednokrotnie spotykamy w rozwoju wypadków 1848. roku.

Sympatye ogółu niemieckiego były bezwątpienia po stronie oskarżonych. Demokracya niemiecka widziała w nich bohaterów wolności, a pierwsi ówcześni obrońcy prawni berlińscy, między którymi widzimy Deycks'a, poprowadzili ich obronę z ogniem i przejęciem, które były najlepszym dowodem, że opinia ogółu widziała w nich swych sprzymierzeńców w walce o prawa ludu. To też nie da się zaprzeczyć, że odwoływanie zeznań niektórych świadków, przykre robiło wrażenie, ściągało bowiem cały proces z wysokiego politycznego piedestału w sfery pospolitej farsy. Farsa ta jednak groźnym zakończyła się wyrokiem z dnia 2. grudnia 1847. roku. Z pomiędzy 254 oskarzonych skazano 58 osób, resztę zaś uwolniono.

Skazano na śmierć 8 osób,
„ na dożywotnią fortecę 7 osób,
„ na 25 lat fortecy 7 osób,
„ na 20 lat 8 osób,
„ na 8 lat 26 osób,
„ na 6 lat 1 osobę,
„ na 2 lata 1 osobę.

Na śmierć skazani byli: Mierosławski, Kosiński, Sadowski, Elżanowski, ks. Łobodzki, Cejnowa, J. Putkamer Kleszczyński, Kurowski.

Tak przeminęła zima z r. 1847. na 48. Skazani apelowali od wyroku pierwszej instancyi, do drugiego senatu sądu kameralnego, przeznaczonego na sądzenie spraw

o zbrodnię stanu. — Dopiero wybuch rewolucyi marcowej w Berlinie, uwolnił wszystkich więźniów z murów Moabitu.*)



Kaźmierz Okszyc.

Przez rżyska.

Dusza moja idzie smutna przez posępne rżyska,
Nagie stopy ścierń jej rani, wiatr ją deszczem siecze,
Idzie, tuli się w łachmany, w losy swe człowiecze,
A z chmur czasem jak opłatek blade słońce błyska..

Tak niedawno... Przez te pola piękna, silna, młoda
Szła wśród żrałych, pełnych kłosów, co się przelewały
Jako morze złotolite, szumiąc hymn wspaniały —
Tak niedawne słońce, szczęście, piękność, moc, pogoda...

Dusza moja idzie smutna przez posępne rżyska,
Nagie stopy ścierń jej rani, wiatr ją deszczem siecze,
Idzie, tuli się w łachmany, w losy swe człowiecze,
A z chmur czasem jak opłatek blade słońce błyska...



Dr. Jan Stella-Sawicki.

Krwawy dramat syberyjski.

Zdarzenie prawdziwe.

(Dokończenie).

Ten ostatni, widząc, iż Czoborski nie strzela inaczej w swego wroga, jak w oko, najął długi tarantas, w którym położył się, postanowiwszy przez cały czas przejazdu, głowy nie podnosić i nigdzie nie wysiadać. Obok siebie kazał położyć zapas jadła i beczułkę wódki, a leżąc w powozie, wyruszył z Czyty. Dwa dni jechał, zachowując jak największą ostrożność. Dnia trzeciego, gdy już był o paręset wiorst od Czyty, koło wozu uderzyło o wielki kamień, leżący na drodze, wóz się przechylił i baryłka wódki wyleciała na ziemię. Zerwał się Ławrów, zapomniawszy o swojej ostrożności i zaczął łajać woźnicę, gdy wtem niedaleko od powozu obaczył długą figurę strzelca z podniesioną strzelbą. Czasu nie było do schowania się, wystrzał rozległ się, a przestraszone konie powiozły trupa Ławrowa, któremu kula rozstrzaskała czaszkę, przeszedłszy przez oko.

Jerszow porzucił wszystko, przebrał się do niepoznania i kupiwszy konia w noc późną wyjechał z Czyty na zachód do Omska. Szczęście mu posłużyło i po uciążliwej podróży dostał się do portu zbawienia, gdzie był pewnym, że go nie dosięgnie ręka mściciela.

Sprawnik z nieopisanym niepokojem wyglądał przeniesienia swego, bo wszędzie, w nocy i we dnie, widział obraz skatowanego strzelca. Nareszcie przyszło tak długo oczekiwane przeniesienie. Sprawnik nikomu o niem nie mówił i nikomu się nie zwierzał o dniu wyjazdu. Wysłał tylko z miasta żonę i dzieci i czekał uwiadomienia, kiedy staną na miejscu. Strach tak owładnął całem jego jestestwem, iż, zamknąwszy się w domu, nieraz płakał godzinami całemi, lub wpadając w bezsilną wściekłość, tłukł naczynia, łamał meble i przeklinając dzień narodzenia swego, całą fortunę swoją ofiarowywał na złowienie szatańskiego strzelca.

Nareszcie w noc ciemną kazał przyprowadzić dobrego konia i wyruszył z Czyty ku Bajkałowi, nie pożegnawszy się z nikim, bo się bał, żeby wieść o jego wyjeździe nie doszła do tego, którego się tak bardzo lękał.

Wysokie góry, połamane i powykrajane w fantastyczne kształty, obramowują jezioro, czyli, właściwie mówiąc, morze Bajkalskie. Widoki brzegów są niezrównanej piękności. Skały proste i krzywe, nagie lub porosłe, zdobią brzegi. Zacząwszy od liszajców i mchów, które niby makaty i bogate kobierce wyścielają skalne nisze i komory, upiększa je całe królestwo roślinne. Modrzewie, sosny, brzozy i wierzby zielenią się na wierzchołkach i na stokach. Mnóstwo drzew pozwalanych świadczy o gwałtowności wichrów na jeziorze. Tam sterczy pień, ówdzie korzenie, tam drzewo nachyliło się nad wodą, ówdzie rozpostarło baldachim konarów, a pod nim kwitną alpejskie rośliny i świergocze ptaszyna. Przylądki są poszarpane i porysowane wodą i piorunami. Woda, roztrząsając się o kamienie, pokrywa je pianą, hucząc ponuro. Woda jeziora bajkalskiego ma kolor szmaragdowy, jak w naszem Morskiem Oku, po które dziś sięga „opancerzona pięść“ Krzyżaka.

Parostatek z Litwinniczej, głównego portu Bajkału, wypłynął już ku Posolskowi, pierwszej przystani. Brzegiem jeziora dążył jeździec na spienionym koniu, sadząc przez rowy i kamienie, żeby się nie spóźnić na parostatek, który tylko na kwadrans zatrzymuje się w przystani.

Był to sprawnik. Jeszcze pięć minut i już będzie na statku; okropna zmora, która go dusiła i spać nie dawała, odbierając spokój, już ustąpi; lepsze życie, niż to pod strachem nieustannym okropnej śmierci, uśmiechało się mu. Tam za jeziorem czekała go młoda żona i dzieci, tam zacznie życie inne, uczciwe...

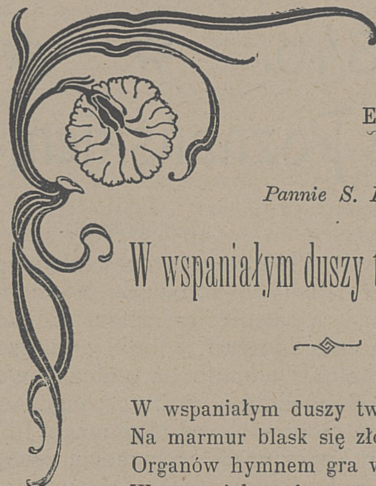
Wtem koń skoczył w stronę; przestraszony, a nieprzygotowany na to jeździec zleciał z siodła. Sprawnik podniosł się z ziemi. W tem z boku usłyszał chrząst, jakby odwodzonego kurka, spojrzał, a przed nim stał strzelec z podniesioną strzelbą i z okiem, w którem pałał ogień nieugaszonej zemsty.

Sprawnik upadł na kolana, złożył ręce błagalnie i zawołał: „Łaski, łaski!“ Strzelec opuścił lufę niżej, potem zagrzmiał wystrzał i sprawnik upadł na wznak, ugodzony kulą w oko. Strzelec spojrzał spokojnie na swoje dzieło, podszedł do trupa i plunąwszy mu w twarz, wyrzekł: „A to moja mowa pogrzebowa nad tobą, psie moskiewski!“ Potem złapał konia sprawnika, dosiadł go i znowu puścił się na południe.

Odtąd o nim nikt więcej nie słyszał.



*) Powyższy szkic historyczny jest wyjątkiem z pracy „Powstanie poznańskie w r. 1848“, która będzie niebawem ostatnią nowością nakładów Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie.



EMIL MERWIN.

Pannie S. P.

W wspaniałym duszy twej kościele.

W wspaniałym duszy twej kościele
Na marmur blask się złoty ściele,
Organów hymnem gra wesele
W wspaniałym duszy twej kościele.

Wskróś naw sklepionych twych przeźroczy
Mgła kadzidł wokół jasność mroczy —
Ponad ołtarzem twoje oczy
W skier wieńcu sieją czar uroczy...

Przez mleczne szyby, gdy wiew świeży
Ulotnych świateł tęczę wprószy,
Widać w kościele twojej duszy
Sterczący las wyniosłych krzyży.

Widać pod krzyżem me ramiona:
Jakgdyby zwiędłe w śnie lilije,
Gdy w nich szał prósb strawionych kona,
Po drzewie splot mych rąk się wije.

Lecz gdy się zerwą z martwej ciszy,
W zdrętwieniu ręce sine sterczą,
W swych skurczach krzyczą pieśń bluźnierczą,
Bo rozpacz pragnień we mnie dyszy.

I znów w wężowej swej lubieży
Pod drzewem pełzną zwiędłe dłonie
Tak cicho — gdy w twych sklepień tonie
Księżyc zadumę senną śnieży..

Pod krzyżem płaczą me ramiona:
Ja męki pragnę, chcę Golgoty!
Ty dasz marmurów połysk złoty —
Daj czerpnąć bolów z twego łona!

Patrz! Moja dusza roztęskniona
U stóp twych krzyży, w twym kościele
Z modlitwą niemą w proch się ściele —
Skrzyżuj ją, skrzyżuj, zanim skona!...



Henryk Zbierzchowski.

EDWARD GRIEG.

STUDYUM.

(Ciąg dalszy.)

W takiej chwili rozpoczął swą karyerę muzyczną Edward Grieg. Zupełna oryginalność w traktowaniu inwencyi, niezwykle piękna harmonizacya, świeżość motywów opracowywanych i forma misterna odrazu zwróciły na niego uwagę muzykalnego świata. Po utworach wokalnych

i fortepianowych przyszły z kolei rzeczy orkiestralne na większą skalę i tu znów okazał się Grieg mistrzem instrumentacyi. Kto słyszał jego symfonię, do ślicznego poematu Ibsena „Peer-Gynt“, ten wie, jak Grieg opanował orkiestrę, jak zna jej wszystkie tajemnice i jak umie stwarzać zupełnie nowe kombinacye dźwiękowe. Dorównuje mu ze współczesnych jedynie francuski kompozytor Saint-Saens, twórca znanego powszechnie „La danse macabre“. Dorobek duchowy Griega ilościowo nie jest zbyt wielki — dotychczas skomponował on około 80 opusów: w liczbie tych 100 piosnek, 10 zeszytów lirycznych utworów fortepianowych, 3 mniejsze oratorya Sigurd Jorsalfar, Olaf Trygvason, Przed bramą klasztorną, parę utworów symfonicznych, uwertur i jeden koncert fortepianowy H-moll.

Są to prawie wszystko rzeczy przecudne o ogromnej wartości muzycznej i nawskróś oryginalne. Dość rzucić okiem na chronologiczny spis jego utworów, aby poznać, jak wszechstronnie pojmuje on muzykę. Używa wszelkiej znanej dotychczas formy muzycznej, nadając jej zawsze jakieś odmienne indywidualne piętno; próbuje swych sił we wszystkich działach muzyki wokalnej, fortepianowej, symfonicznej i kameralnej... Chwilami opanowuje go chęć bawienia się tonami tak, jak i poeci nieraz igrają z rymami — wtedy naśladuje umyślnie dawniejszych mistrzów jak np. swego profesora Gadego, albo dorabia genialny akompaniament na drugi fortepian do sonat Mozarta, które przez to nie tracą nic na uroku, ale stają się nowszemi.

Najwięcej jednak utworów napisał na fortepian, więc z tego tylko punktu będę rozbierał charakter i główne cechy jego twórczości.

Fortepian to cudowny instrument, który opanował on zupełnie, zna jego wszystkie tajemnice, ukryte dla profanów, zbadał całkiem dokładnie psychologię i charakter tego trójnożnego, grzmiącego potwora z wnętrzem najeżonem gęsto strunami, w których drzemią jego uczucia, tak różnorodne i tak sprzeczne, czasami grzmiące jak trąby Archaniołów w dzień Sądu, to znowu miękkie, łagodne i słodkie, jak słowo „kocham...“ w ustach umiłowanej kobiety. Dla Griega nie istnieje prawie klawiatura, na której można wygrywać brylantowe pasaże i waryackie sztuki.

Przystępuję teraz już wprost do najważniejszej kwestyi: co stanowi właściwą i charakterystyczną cechę utworów Griega, w czem polega urok i czar tych dziwnych kompozycyi, różniących się tak gwałtownie od wszystkiego, cośmy dotąd słyszeli i jakich pierwiastków możemy się doszukać, wgłębiając się uważniej w jego utwory... Zadanie to nie jest tak łatwem. Griega mało ludzi rozumie a jeszcze mniej odczuwa. — W muzyce jego odzywają się zawsze trzy zasadnicze pierwiastki: a więc naprzód to ukochanie ziemi ojczystej z jej nagiemi skałami i wiecznie szumiącem morzem, ukochanie tej dzikiej, fantastycznie pięknej natury, gdzie w każdym tworze drzemie ukryta, surowa i groźna myśl Stwórcy, ukochanie rozpacznie smętnych lub dziko wesołych piosnek tego ludu. Przejdźmy utwory Griega — we wszystkich przewija się jednem pasmem motyw ludowy norwegski, który nadaje im naturalne piętno. Nie mówimy tu o licznych utworach, które są tylko transkrypcyami pieśni i tańców ludowych, ale motyw ten dźwięczy nawet w tak ściśle określonych formą utworach jak Nokturn, Ballada, Sonata. Stąd to nadmierne nieraz używanie kwintowych akordów i prowadzenie niemi melodyi, które jest jak wiemy charakterystyczną cechą tańców i melodyi ludowych u wszystkich prawie narodów. A przedewszystkiem smętny głos fujarki pastuszej na górach i monotonny plusk morza, zmywającego brzegi — fujarka i morze to dwa tony nastrojowe, które są jak gdyby tłem jego utworów. Używanie ich nadaje kompozycyom jakieś monotonne zabarwienie, zwłaszcza, że Grieg lubi jeden motyw powtarzać kilka razy. Jest to zupełnie naturalne: Grieg zżył się prawie w młodości z tem morzem i tą fujarką, które w duszy jego pozostawiły niezatarte niczem wrażenie, tak jak i smutek i melancholia ziemi polskiej oddziałała tak bardzo na duszę Chopina.

Z tego, że Grieg jest tak bardzo narodowym nie wynika bynajmniej, aby brakło mu indywidualności genialnej, która sama z siebie, nie opierając się na niczem zgoła, tworzy potężnie i oryginalnie. Narodowość to tylko jedna ważna cecha tej muzyki, na którą składa się więcej pierwiastków równie ważnych. Drugą cechą jego muzyki jest bezgraniczny smutek, rozpacz i tęsknota duszy, która rwie się do słonecznych pól, tęskni za nieznanymi światami, wyciąga dłonie do swych snów i marzeń nigdy nie urzeczywistnionych.

A tymczasem szuka i szuka dróg, goni za tajemnicami, któreby mogły ją już tu na ziemi zbliżyć do wymarzonych ideałów...

Weźmy do ręki 10 zeszytów jego utworów lirycznych na fortepian. Dziwny to zbiór... Bezładnie, bez porządku przewija tam się około sto drobnych kompozycyi, różnych od siebie formą i treścią ale owianych jednym i tym samym duchem tak, że jest między niemi jakiś ukryty i niewidzialny łącznik, duchowe pokrewieństwo i powinowactwo krwi. Są tam spiewne cacka, melodyjnością przypominające utwory włoskie, a zatytułowane skromnie „melodye“; są filigranowe „Albumblätter“ pisane zapewnie w chwilach uspokojenia ducha; są rozpaczne Elegie prowadzone chromatycznie i w łamanych akordach; są tęskne walce, skoczne pieśni i tańce ludowe, jest nokturn cudowny, w którym słyszy się najwyraźniej monotonny plusk morza, opłukującego brzegi w noc księżycową; są menuety, ale jakieś północne, szorstkie, pozbawione francuskiej gracyi — w tych jednak utworach cechy muzyki Griega nie są tak wyraźne, forma z góry już naznaczona, krępuje i zaciera myśl twórczą. Ale są tam jeszcze liczne illustracye lub poemata muzyczne z tytułami dziwnymi, jakie spotykamy tylko w poezyi i na nie głównie chcę zwrócić uwagę. W nich dopiero przebija się Grieg takim, jakim jest w istocie, tj. ogromnie głębokim i bardzo genialnym. Weźmy na przykład utwór najbardziej charakterystyczny p. t. „Tajemnica“. Rwącą, rozwichrzoną falą płyną tony coraz szerzej i szerzej, w coraz pełniejsze i bardziej namiętne łącząc się



PIESZCZOTKI MAMY.

akordy... czuć jakieś wrzenie nieznanych sił, niby podziemne huki we wnętrzu wulkanu, jakieś kotłowanie, niby w wirze wodnym, jakiś szum wzburzonych nurtów rzeki, co pieni się pędząc z okropną siłą wciąż naprzód i naprzód — to tłum ludzi, który szuka na ziemi odwiecznej tajemnicy, zagadki wszechrzeczy, i czuje wieczny rozdźwięk między swoją duszą spragnioną podsłonecznych lotów, a szarą rzeczywistością. I tłum ten szukający po żmudnej tułaczce przez błędne ścieżki i rozłogi, gdzie wielu pada po drodze ze znużenia, okryty kurzem, spragniony spoczynku i ochłody, dochodzi wreszcie pod bramę zaklętego pałacu, gdzie kryje się przed okiem świata odwieczna tajemnica wszechrzeczy.

Na widok tej bramy potwornej, okutej żelazem, ogromnej, co broni przejścia, wściekłość ogarnia znużonych wędrowców, bunt ukrywany długo w piersi rozpala się nagle wściekle i ten tłum ludzi z okrzykiem przekleństwa rzuca się wzburzoną falą na żelazne wrzeciądze. Pod naciskiem tysiąca piersi potworna brama zaczyna okropnie trzeszczeć, chwiać się i kołysać w żelaznych zawiasach, aż wreszcie skrwawiona ludzkiemi piersiami wali się z wściekłym łoskotem na ziemię, miażdżąc najbliższych. Okrzyk dziki tryumfu, który przedarł teraz fale powietrza, załamuje się nagle, urywa i ginie bez echa. Dziwy... Fala ludzka, która wysunęła się już naprzód, gotowa do wtargnięcia w zaklęty pałac, staje bez ruchu jak skamieniała i pochylona w tył, niby morze kłosów pod powiewem wiatru. W ciemnym krużganku rozpala się nagle olśniewająca jasność... Fale, strumienie, potoki światła przedarłszy ciemną przestrzeń uderzają gwałtownie w rozszerzone źrenice, fale świetlne, zatacząjąc potworne kręgi o tęczowych rąbkach wysuwają się naprzód jak stado obręczy. Morze — chaos, nieskończoność światła!!! Ze zbielałych warg wędrowców najbliżej stojących wyrywa się mimowolny bezwiedny szept: Co to? Te dwa słowa podane w ciszy grobowej, rozchodzą się w tej fali ludzkiej coraz dalej i dalej, łączą się, zlewają, rosną, — aż wkońcu cały ten stutysięczny tłum w jakimś szale i obłąkaniu powtarza rozpacznym, monotonnym chórem: Co to? Co to? Co to?...

A z potoków światła odzywa się słodki, śpiewny głos nieznanego bóstwa, które zlitowawszy się nad nędzą tłumu, wieści mu pożądaną i szukaną tajemnicę... A tłum z zapartym oddechem słucha słodkich słów bóstwa, co głosi mu rzeczy nieznane i nieprzeczuwane. I w sercach ich budzi się jeszcze większa, bo cicha i beznadziejna rozpacz, bo czują, że między ich duchem a słowami bóstwa, leży jeszcze ogromna przepaść, że nie mogą pojąć tych słów wyrzeczonych w godzinę cudu. I idą znowu tłumnie w dal niezmierzoną, szukając nowych bóstw i tajemnic bardziej zrozumiałych... Grieg pisząc ten cudny utwór czuł się zapewne jednym z tych nieszczęśliwych i to bardziej jeszcze, bo natura obdarzyła go sub telnym czuciem i wielką wrażliwością. Ten sam nastrój wiecznej tułaczki posiada i znany powszechnie utwór Griega „Samotny wędrowiec“, tylko niema już w nim tego buntu, ale raczej determizacya, że tak być musi, a nie inaczej... Są u Griega rzeczy wesołe, pogodne, słoneczne jak np. „Na wiosnę“, gdzie pełno jest słońca, ptaszęcego spiewu, jakiejś błogiej ciszy i ukojenia... Albo „Ptaszki“, gdzie tak mistrzowsko podchwycił Grieg rozgwar ptaszęcej rozmowy, gdy świt niebo zrumieni... albo „Strumyczek“ w którym słyszy się prawie gwarliwe sączenie się wody i plusk ryb na powierzchni ruchliwej. Żaden z kompozytorów nie potrafił w sposób tak prosty, sielankowy prawie zillustrować każdą myśl, ruch, lub najsubtelniejszy nawet nastrój ducha ludzkiego. W chwili kiedy gram „Pochód karłów“, widzę prawie tych śmiesznych, małych ludzi z brodami, jak wykrzywiają pocieszne twarze i idą zwartymi szeregami; w chwili kiedy gram „Taniec elfów“, dzwoni mi zaraz w uszach wiersz Tetmajera:

Od pól rusałki lecą
We mgłach i wód oparach,
Ogniki łapią błędne
Po bagnach i moczarach...

(Dok. nast.)



Edgar Allan Poe

Żabinóżka.

(Dokończenie).



Aby skryte swe zamiary doprowadzić do skutku, postanowił karzeł poprzebierać króla i ministrów za orangutangi. Zwierzęta te były rzadkością w czasie, na który przypada nasza opowieść. Ponieważ karzeł postarał się o kostyumy, uderzająco podobne do orangutanów, skutek musiał wypaść pomyślnie. Króla i ministrów kazał zaszyć w ściśle do ciała przylegające wełniane koszule i spodnie, posmarowane dziegciem. Ktoś z towarzystwa zaproponował, aby pokryć ubranie piórami. Sprzeciwił się jednak karzeł twierdząc, iż włos orangutanga lepiej da się naśladować zapomocą lnu. Tak więc przytwierdzono do ubrania przepojonego dziegciem gruby pokład lnu. Następnie sprowadzono długi łańcuch, umocowano doń króla i ministrów w ten sposób, iż wszyscy stanowili nierozerwalny kompleks ciał.

Sala balowa była bardzo wysoką i kształtu okrągłego. Światło dzienne padało do niej jednym otworem, u góry umieszczonym. Ponieważ jednak zabawa odbyć się miała w nocy, oświecał ją wielki świecznik, zwieszający się ze środka na długim łańcuchu, nasadzonym tak, iż stosownie do potrzeby światła można było świecznik spuszczać niżej ku podłodze lub zbliżać do sklepienia na poddaszu.

Ozdobienie sali powierzono Tripetcie. Widocznie jednak co do kilku dyspozycyi kierowała się radą karła. I tak za jego poradą usunięto świecznik pod pozorem, że roztopione krople wosku upadając mogłyby uszkodzić kostyumy gości. Boć przecież niepodobna, aby wobec przepełnienia wszyscy mogli trzymać się zdala od punktu środkowego sali, gdzie właśnie umieszczony był świecznik. Przytwierdzono więc do wszystkich ścian bocznych niezliczoną moc świec, a w ręce sześciu karyatyd, podpierających ściany, powsadzano pochodnie.

Gromada orangutangów czekała cierpliwie wedle rady Żabinóżki zbliżenia się północy. Sala tymczasem zapełniła się publicznością. Skoro wybiła dwunasta godzina, wpadli, albo raczej potoczyli się poprzebierani dostojnicy państwa w środek sali. Ciężar łańcucha jednakowoż spowodował, iż po drodze popadali z wielkim trudem przez leżące pokosem ciała się przedostając.

Na obecnych wywołało pojawienie się małp wielkie wrażenie. Zadowolenie przejmowało serce królewskie. Jak się spodziewać było można większość obecnych sądziła, iż te tak strasznie się przejawiające zjawiska to rzeczywiście dzikie bestye, zbiegłe z jakiegoś zwierzyńca. Wiele dam popadło ze strachu w omdlenie, a gdyby król nie był przedtem wydał zakazu noszenia broni na sali, z pewnością on i jego towarzysze opłaciliby żart krwią. Wszyscy poczęli uciekać do drzwi, jednakowoż bezskutecznie, bo król kazał je zamknąć natychmiast po ukazaniu się małp.

Podczas gdy zamieszanie dochodziło do zenitu, a wskutek natłoczenia się w jednem miejscu tak wielkiej ilości ludzi rzeczywiście obecnym niebezpieczeństwo grozić poczęło, można było zauważyć, iż łańcuch, na którym dawniej wisiał świecznik zwolna się począł zniżać tak, iż zawisł w odległości trzech stóp od podłogi.

Wkrótce potem znalazł się król wraz z ministrami w środku sali, a więc w bezpośredniem zetknięciu z łańcuchem świecznika. Podczas gdy w tem miejscu się znajdowali, pobudzał ich karzeł ciągle do wywołania coraz to większej zgrozy w tłumie. Równocześnie uchwycił łańcuch opasujący króla i towarzyszy, przytwierdził do haka, umieszczonego u końca łańcucha świecznika. Niewidomą ręką pociągnięty łańcuch uniósł się w górę, a wraz z nim gromada orangutangów. Tak więc zawisł król wraz z ministrami w powietrzu...

Podczas tego ochłonęli nieco zebrani z przerażenia, przekonując się, iż mają tu do czynienia z żartem. Widząc zaś rozpaczliwe położenie małp, poczęli się serdecznie śmiać.

„Zostawcie ich mnie!“ zawołał Żabinóżka swym jaskrawym, dziwnie brzmiącym głosem. „Zostawcie ich mnie! Zdaje mi się, że ich znam. Gdybym się tylko mógł im bliżej przypatrzeć, sądzę, że poznałbym ich z łatwością!“

Po tych słowach zręcznie dostał się do jednej ze ścian, chwycił oburącz pochodnię i powrócił na środek sali. Nagłym ruchem wydrapał się między wiszących w powietrzu, stąd na łańcuch i zniżając pochodnię, aby oglądnąć twarze małp, zawołał znowu: „Wkrótce dowiem się, co to za istoty!“

I podczas gdy całe towarzystwo wraz z małpami głośnymi wybuchami śmiechu przyjmowało uwagi karła, dał się słyszeć donośny gwizd, poczem nagle łańcuch podniósł się do góry o jakich trzy dzieści stóp. Żabinóżka, który uchwycił się ręką łańcucha, zachował wobec małp tę samą pozycyę, co wprzódy, i jakgdyby nic nie zaszło, pochodnią oświecał ich twarze w zamiarze dowiedzenia się, kim są.

Nagłe podniesienie łańcucha wprawiło całe towarzystwo w wielkie zdumienie. Na chwilę cisza zapanowała. Wtem dał się słyszeć tensam przytłumiony, twardy i zgrzytliwy ton, który już wówczas zwrócił uwagę ministrów i króla, kiedy tenże winem oblał Tripettę. Teraz jednakowoż najmniejszej nie było wątpliwości, skąd ten ton pochodził. Powodował go ruch zębów karła, który z wściekłością taką, iż pianą



PRZY KLĘCZNIKU.

mu się usta pokrywały, ocierał jedną szczękę o drugą. Przytem pałającem okiem i z wyrazem szalonej zażartości na twarzy spoglądał prosto w oczy króla i jego siedmiu ministrów.

„Ah, ha!" rzekł wreszcie rozwścieczony błazen, „ah, ha! Teraz dopiero świta mi w głowie, co to za ludzie!"

Po tych słowach zbliżył pod pozorem dokładniejszego przypatrzenia się królowi pochodnię do jego ubrania, pokrytego lnem i dziegciem. W pół minuty grupa małp zamieniła się w jasno płonący słup ognia. Przerażony tłum, nie mogąc wiszącym w powietrzu przyjść z pomocą, spoglądał wśród rozpaczliwych okrzyków ku górze.

Wreszcie zmusiła siła ognia Żabinóżkę do ustąpienia. Wydrapał się więc po łańcuchu w górę, zbliżając się tem samem do otworu w suficie, którędy łańcuch był spuszczony do sali. Podczas tej czynności zapanowało znowu wśród tłumu głuche milczenie. Korzystając z tej sposobności począł karzeł:

„Teraz poznaję dokładnie", rzekł, „do jakiego gatunku ludzi te maski należą. Jest to wielki król wraz z swymi mężami zaufania — król, który nie wzdrygnął się przed biciem bezbronnego dziewczęcia; a ci ministrami, którzy go do tego znieważenia zachęcili: co do mnie zaś, jestem Żabinóżką, trefnisiem Jego Królewskiej Mości. Był to mój ostatni występ."

Wskutek łatwej spalistości zarówno lnu jakoteż dziegciu, zaledwie karzeł swej mowy dokończył, już się spełniło dzieło jego zemsty. Jako czarna, ćmiąca, obrzydliwa masa, zwieszały się ciała króla i ministrów. Karzeł wypuścił z ręki pochodnię, a sam dostawszy się do sklepionego sufitu, znikł za oknem.

Tripetta była wspólniczką dzieła zemsty swego przyjaciela: znajdując się po drugiej stronie sklepienia sali, zniżyła a następnie podciągnęła do góry łańcuch, na którym zawisły ciała orangutangów. Prawdopodobnie uciekli do ojczyzny, bo od tej chwili wszelki słuch o nich zaginął.

Tłum. b.—m.



TEODOR MIANOWSKI.

Na jeziorze.

I.

Cicho płyniemy po wodnej bezbrzeży,
Rozkołysanej w uśmiechach księżyca;
Na dnie mej łodzi piękna Pani leży,
A gra nam wieczór i toń modrolica.

W mgłach poza nami szarzeje szczyt wieży —
Przed nami cicho szemrze wód tęsknica:
„Jest gdzieś zaklęta w komnatach dziewica,
„Do której serce zabiło rycerzy...

„Śni, że ją rycerz uwodzi wybrany
„Przez siedm jezior — gdzieś w cichy zakątek,
„Tam taki spokój w omdlenia godzinie!"

A senną naszą łódz kołyszą piany
I dawnych pieśni roi nam się wątek
I baśni wschodniej czar w duszę nam płynie.

II.

Staje łódź nasza na środku wody,
A toń tak spiewa, jak dziewczyna rzewnie,
O jakiejś sennej nam baje królewnie,
Co na dnie morza wiek prześniła młody;

O jakimś dziwnym nam baje żeglarzu,
Co się na morskim wciąż błąkał bezkresie;
O tajemniczych skarbach w ciemnym lesie,
O jakiemś Szczęściu — wieczystym mirażu!

Staje łódź nasza piersiami drzącemi,
A fala szumi pieśnią cichą, senną —
I wówczas zdało nam się, że w nas kona

Wszystka chęć życia, że sobie w ramiona
Padłszy, w wód przepaść runiemy bezdenną —
Prześnić na jawie złote sny tej ziemi.



6.

List ze Lwowa.

Szanowny Redaktorze!

Przyznaję, że zawiniłem, biorąc wielkim sumptem mały urlop bez Twego zezwolenia. *Mea culpa, mea maxima culpa.* Nie żądałem go jednak z tej najprostszej i najracyonalniejszej w świecie przyczyny, ponieważ wiedziałem, że go nie uzyskam.

Zważywszy, że:

1) Każdy najpodlejszego gatunku i najobskurniejszy śmiertelnik ma prawo do odpoczynku;

2) że każdy nieszczęśliwy mieszkaniec zakurzonego, obdrapanego i rozkopanego Lwowa, ma prawo odetchnąć innem także powietrzem.

3) że basen p. Milskiego nie starczy dla tych, którzy swe cielsko zanurzyć pragną w jakiejś rzecznej wodzie, niekoniecznie nazywającej się Pełtwią, uznałem za stosowne czmychnąć bez Twej wiedzy i bez Twego przezacnego pozwolenia.

Oto przyczyna, dla której w ostatnim czcigodnym „Tygodniku" Twoim nie pojawił się wcale zwykłym fosforycznym blaskiem, jeden ze słynnych już na całym obszarze ziem polskich (z przed roku 1772.) moich „Listów ze Lwowa".

A zresztą, powiem prawdę, sprzykrzyły mi się już wściekle ponure i szalenie znudzone twarze słomianych wdowców i niedobitków, bawiących jeszcze w tym pokiereszowanym i rozkopanym przez p. Rodakowskiego Lwimgrodzie:

Byłem w Jaremczu.

Godzinami całemi wpatrywałem się w rzekę, która dążąc z szumem do stolicy Bukowiny, nieraz zapewne w łonie swem kryła Twoje grzeszne*) ciało. Wyjeżdżając ze Lwowa, przekonałem się dowodnie i namacalnie, że podróże nie są rzeczą łatwą. Pomijając bowiem fakt, iż Wysoka c. k. Dyrekcya poczt, telegrafów i telefonów naszego Królestwa Galicyi i Głodomeryi, po dziś dzień nie wypłaciła mi jeszcze stu blatów, zdefraudowanych przeszłego roku przez listonosza Speitla, co nie mało wpłynęło na zredukowanie wygód moich w tej wycieczce, konstatuję fakt, że los złowrogi — albo też p. Platowski przez cały czas mnie prześladował.

Bo oto posłuchaj: Pociąg odchodził o godzinie 4 rano. Odtrąciłem walecznie, bohatersko prawie Morfeusza, który mnie za silnie w swych objęciach ściskał i który tchórzliwie pierzchnął na wzór Chińczyków, dających nura na samą wieść, że *der Wenzel kommt*, tj. nie, chciałem powiedzieć: *der Waldersee kommt*!

Umyłem się, ubrałem, pojechałem na nowy dworzec, wzniesiony ze starych desek według projektu pana Lewińskiego, a tak szeroko i długo pochwalnie opisany przez reporterów wszystkich dzienników i — ujrzałem mój pociąg, który majestatycznie, buchając dymem, przed nosem mi odjechał.

Pech! Cóż miałem robić? Czekać do następnego pociągu — rzecz prosta. Miałem czasu trzy godziny. Poszedłem zatem do restauracyi, wspaniale urządzonej, makatami obwieszonej, freskami pokrytej — naładowanej meblami, kominkami, wazami etc. w stylu zakopańskim — (pomysłu p. hofrata Wierzbickiego), a którą z całą sumiennością i dokładnością zawzięcie jakiś biały murzyn zamiatał. Czekając na kawę, wypiłem herbatę, po kawie kazałem sobie usmarzyć befsztyk, a dla zabicia czasu, jadłem jaja na twardo. W „międzyczasie" (jak mówią u Ludwika) różne lokomotywy rozmaicie gwizdały, sapały, stękały, huczały, parskały, dmuchały, a różne pociągi na wsze świata strony odchodziły, dość, że gdy nareszcie ostatnie kawałki mego befsztyka z trudnością wprawdzie, lecz walecznie przełknąłem, dowiedziałem się z przerażeniem, iż mój pociąg znowu odjechał! — Pech! Cóż miałem robić? Czekać do następnego pociągu — rzecz prosta.

Z uwagi jednak na widoczne moje niedołęstwo umysłowe i zupełną niepraktyczność w podróży, poszedłem na tor kolejowy, położyłem się na szynach i postanowiłem nie ruszyć się wcale, dopóki moj następny pociąg nie nadejdzie. Nic nie pomogły błagania służby kolejowej, a nawet groźby nadzwyczaj uprzejmego i sympatycznego nadinspektora pana Götza, którego broda słuszny podziw wzbudza i skutecznie rywalizuje z brodą p. Kuncewicza, — upór mój odniósł zwycięztwo. — Zostawiono mnie w spokoju. Ale też, gdy pociąg nareszcie nadjechał, znalazłem się daleko prędzej, aniżeli to było moim zamiarem w wagonie (Mocno podejrzywam władze kolejowe, o interwencyą, gdyż tempo było nadto pospieszne i zupełnie niezgodne z mojem, na cały Lwów znanem usposobieniem flegmatycznem.)

Arcyciekawej i w różne najdziwaczniejsze przygody obfitującej podróży mej do Jaremcza, opisywać nie będę — a ciekawość Twą słuszną, Szanowny Redaktorze, zaspokoję innym razem. Wysiadłszy z wagonu, poszedłem do hotelu, wspaniałej willi z wielkim komfortem urządzonej, a położonej tuż naprzeciwko dworca. Już na wstępie samym poznałem, że to własność bogatego, rozumiejącego wybornie swój interes Europejczyka-rodaka. Pokój dano mi wspaniały. Pomimo szczelnie zamkniętych drzwi i okien, przewiew był nadzwyczaj starannie utrzymany, w szczelinach bowiem ścian, drzwi i okien wyborne znajdowały się przyrządy wentylacyjne, a tak kunsztownie i misternie urządzone,

*) ? — Red.

że ich gołem okiem dojrzeć nie można było. Łóżko, stół i krzesło z wielką fantazyą i smakiem ustawione, tworzyły wprawdzie całe umeblowanie, lecz za to z okna przecudny roztaczał się widok na dzieła matki-natury, oświetlone żółtawo-srebrnym blaskiem księżyca. — Różnemi niepowodzeniami memi znużony, a głównie znudzony moją niezdarnością w podróży, rzuciłem się na łóżko... Impet zapewne był zawielki, gdyż łóżko zajęczało, kwiknęło, skrzypnęło, zachwiało się — i trzasło. Leżąc na ziemi, patrzałem w sufit, przyczem — rzecz arcydziwna — pokój wydał mi się o wiele wyższy. Było to zapewne złudzenie optyczne. Z wielkim trudem wydobyłem się z objęć złamanego łóżka i rzuciłem się na krzesło. Zachwiało się jakoś podemną: impet był znowu zawielki. Nie czekając aż trzaśnie, zerwałem się i wybiegłem z pokoju. Noc była cudna; księżyc całą pełnią okrągłej, pocułowatej swej twarzy ironicznie patrzał na mnie. (Nie mam pojęcia dlaczego właściwie kpił ze mnie. Czyżby dlatego, że żadnej nie miałem u boku towarzyszki?) Szedłem przed siebie — aż do skały Dobka, owej słynnej skały, o którą omal że władze wojskowe z komisyą konserwacyjną zabytków w konflikt nie weszły, poważniejszy daleko, aniżeli nieporozumienie między księciem Tuanem, cesarzową chińską a mocarstwami. — Podziwiałem dziury wywiercone a zatkane na razie jakiemiś kołkami, które (dziury a nie kołki) służyć mają do podminowania skały, w razie obrony tunelu. (Ponieważ nikt w świecie o tem nie wie, błagam Cię, Szanowny Redaktorze, nie zdradź mnie! Cicho! Sza!!)

Usiadłem pod skałą i postanowiłem dumać nad znikomością świata. Ale — o cudo! W tym odludnym zakątku, o tak spóźnionej porze, siedział naprzeciw mnie inny osobnik, w którym poznałem — kolegę po piórze ze Lwowa! — Znasz go doskonale Szanowny Redaktorze, jest o tyle długi, o ile mnie matka przysadkowatym zrodziła, i jest o tyle chudy, o ile środek mego ciała nadto wiele wyprzedza resztę zacnego mego korpusu. Nazwiska jego pomimo Twej ciekawości nie wymienię, gdyż bawił w Jaremczu incognito, z powodu złego humoru swoich przeróżnych lwowskich nadwornych dostawców. Rad nie rad, zapuściłem się z nim w gawędkę, która przeciągnęła się do chwili, gdy tarcza słoneczna groźnie się pojawiając, spędziłaz horyzontu zaspany już księżyc.—

I nie żałuję tego, gdyż wielu ciekawych rzeczy o Lwowie się dowiedziałem i to takich, o których siedząc na miejscu nie miałbym pojęcia.

Opowiadał mi mianowicie, że (gwałtu, co się dzieje!) - dramat lwowski powrócił już z Krynicy, w której nalykawszy się świeżego powietrza przemienił się nagle w tragedyę. Każdy z artystów przywiózł ze sobą zaoszczędzonych, głowa na głowę, 500 koron. Do tego powodzenia przyczynili się podobno głównie lekarze z Krynicy, którzy uczęszczając wraz z rodzinami codziennie do teatru, płacili szczodrze, bo za każdym razem za lożę 100 koron, a za fotel 50. To też wdzięczni artyści ustawili im tam za życia jeszcze pomnik wspaniały, z samych pustych foteli teatralnych złożony, a niewiedząc co robić z nadmiarem pieniędzy, udali się do ojca miasta p. Walichiewicza z prośbą o poradę. Pan Walichiewicz długo się nie namyślał i oświadczył, że wszystkie pieniądze (około 20.000 koron) oszczędzone w Krynicy przez artystów, zabiera i przeznacza na osobny fundusz pod nazwą „Fundusz zaspokojenia dzierzawcy prawa bydło-bicia na Zniesieniu“.

(Nazwa funduszu tego cokolwiek za długa, lecz za to określająca dokładnie rzecz całą). Artyści rozpromienieni wrócili do domu i uchwalili na zwołanem ad hoc walnem zgromadzeniu, zrobić składkę na pomnik p. Walichiewicza, który tak umie korzystać z każdej sposobności dla dobra miasta.

Opowiadał mi dalej mój towarzysz z Jaremcza, że pan Myszkowski przed objęciem teatru w Kaliszu, chciał koniecznie jeszcze raz wystąpić w „Klubie kawalerów“, — tymczasem władze się w to wdały najniespodziewaniej, i stwierdziły, że manuskrypt wcale się nie zgadza z tekstem komedyi Bałuckiego. Na tej podstawie występ ten został zabroniony. Angażowani nawet specyalnie do tej sztuki różnej kategoryi osobniki, mają podobne wielkie nieprzyjemności. Towarzysz mój niechciał mi dać żadnych bliż szych w tym względzie wyjaśnień. *Relata refero*. Może ty, Szanowny Redaktorze, zrozumiesz, o co właściwie tu idzie, bo ja nic a nic.

Dowiedziałem się również, że Zjazd demokratów pod batutą pp. Tadeusza, Jana i Natana — wypadł wspaniale. Nie dopisali jedynie jakoś mieszczanie lwowscy, którzy uchwalili siedzieć przez cały czas Zjazdu u Naftuły, nie mieszać się do niczego, a patrzeć na wszystko z podełba i nieufnie. Dodał nawet mój towarzysz, że bardzo się im to chwali. — Ale dla czego? Nic się na polityce nie rozumiem. Zapytaj się Szanowny Redaktorze pana Liberata, może on to wytłumaczy. (Podobno już wrócił z Truskawca).

Słońce w całej pełni nas już promieniami swemi prażyło. Chcąc się ochłodzić, zdecydowaliśmy się wykąpać w słynnym Prucie. Daremnie szukaliśmy jednak jakiegoś zakładu kąpielowego, a bodaj budki jakiejś, gdzieby rzeczy przechować można. Radzi nie radzi, szaty nasze złożyliśmy z namaszczeniem na piasku — i dalej do wody. On, długi, wysoki, naprzód, — ja, krótki gruby za nim. Idziemy, idziemy, idziemy, woda wciąż po kostki. Większą pół rzeki przeszliśmy w ten sposób i ani rusz, bodaj kolan zamoczyć. — Na dobitek nieszczęścia różne panie po obu brzegach spacerowały i głośno przeciw widokowi, który w całej pełni się przed niemi roztaczał, protestowały. On sobie z tego nic nie robił i szedł spokojnie naprzód, ja jednak, w przyzwoitości chowany, grzeszne me ciało koniecznie w wodzie ukryć chciałem. Położyłem się zatem w rzece na wznak, zmoczyłem uszy, plecy i pięty, z wody zaś z całą bezgraniczną bezczelnością wyłaniała się ta część mego jestestwa, której losami z taką gorliwością opiekuje się restauracya Ludwiga.

Miałem dosyć Jaremcza. — Wylazłem z wody, ubrałem się, wsiadłem na pociąg, który na szczęście tym razem w sam czas złapałem i wróciłem do Lwowa.

Wolę stanowczo — basen pana Milskiego!

Twój itd. *Strachajło.*



b.—m.

Przegląd pism.

(*O nadczłowieczeństwie i człowieczeństwie*).

W „**Przeglądzie powszechnym**“ rozprawia się prof. Antoni Mazanowski z „Młodą Polską“. Zamiar jego jasno prześwieca z kartek: wyrównać, sprowadzić do średniej miary wszelkie podrygi oryginalności i samodzielności. Wszystko, co jaskrawe, winno być przytłumionem i przygłuszonem, jako pierwiastek zbyt niebezpieczny, oślepiający, burzycielski. Szarzyzna przeciwnie łatwo i przez byle kogo daje się „zgłębić“ — pan Mazanowski jest więc jej apostołem.

W ostatnim numerze charakteryzuje p. M. lirykę modernistów. Skonstatowawszy, że po latach posuchy na niwie poetyckiej, kiedy to skargi szeroko rozbrzmiewały, że „źródła natchnienia wyschły“, nastała „istna powódź poezyi i poetów“, dochodzi p. M do przeświadczenia, że w tegoczesnym koncercie poetycznym „daje się wyróżnić mnogość zmieszanych akordów, z których się układa — jak dotąd — bardzo niejasna, często nawet niesforna i zgrzytliwa muzyka“. Zadaniem więc szanownego pana profesora jest „pokusić się o wyłowienie z całości poszczególnych akordów“.

Posłuchajmy więc, co pan M. „wyłowił“ ze wspaniałego koncertu, jakim się przed nim popisali polscy poeci.

Trzy dotychczas (bo studyum jeszcze nieskończone) grupy akordów rozróżnił p. Mazanowski:

Są poeci, którzy na melodyę podniesienia poziomu kulturalnego i ulżenia doli ludu wygrywają najrozpaczliwsze, najbardziej za serce chwytające pieśni —

są tacy, którzy swe natchnienie czerpią, z niewyczerpalnej skarbnicy poezyi lirycznej — miłości, której kapłanką kobieta“ —

są wreszcie ci, którzy za przedmiot swych wynurzeń egotycznych obierają Boga, Lucyfera, Chrystusa, kosmos — słowem filozofowie literaccy. „Da się tu rozróżnić cała skala uczuć i myśli: od smętnej melancholii aż do dzikiej rozpaczy, od łagodnych wątpliwości aż do niepohamowanych bluźnierczych uniesień i szałów. Zaczyna się tak zwykle — zwątpieniem“. Ten rodzaj poetów charakteryzuje p. M. jako takich, którzy „g n i e w a j ą s i ę n a B o g a“ (Co za naiwne wyrażenie... wcale nie profesorskie).

Do pierwszego rodzaju poetów zalicza Mazanowski Andrzeja Niemojowskiego, Jana Kasprowicza, Kazimierza Tetmajera (sic!) i Maryę Konopnicką. Do erotyków Tetmajera, Sterlinga, Przybyszewskiego. Do artystów-myślicieli Miriama, Kasprowicza, Żuławskiego, Szczepańskiego i innych pomniejszych, których klasyfikuje wedle potrzeby i upodobania.

Tak się przedstawia rusztowanie, na którem p. M. wsparł swoje kryteryum współczesnej liryki polskiej. Zapomniał jednak o jednej rzeczy: chcąc sobie urządzić pomieszkanie, nie wynajmuje go się nigdy wprzód, zanim się nie wystara o meble i sprzęty domowe, ale najpierw zastanawia się nad potrzebnymi sprzętami, a dopiero potem wedle ich ilości i kształtów stara o pomieszkanie. Taksamo w gatunkowaniu poetów (choć wszelkie gatunkowanie jest śmiesznem i nieużytecznem. Jedynie dla celów pedagogicznych może

mieć zastosowanie). Nie godzi się ulewać poezyi wedle pewnych form gatunkowych a potem dopiero „wyławiać“ poszczególne indywidua i wypełniać niemi ukartowane już podziałki. Najgorzej odbił się teṅ system krytyki literackiej na rozgatunkowaniu poetów-myślicieli. Wobec ogromu działów filozofii i subtelności tam panujących, nie mógł się p. M. absolutnie rozeznać, który poeta do czego należy i wykręcając się sianem z tej kabały, powiada: „Jedni widzą środek ratunku w panteizmie Spinozy, drudzy radzą się Zarathustry, inni wielbią Buddę, są n a w e t t a c y, którzy upatrują zbawienie w naukach Nietschego“. „Są nawet tacy“... ha, ha, ha. Co pan powiada, panie profesorze, są nawet tacy?... hm, hm, to źle, to bardzo źle, bo — — pan Mazanowski radby ze szczerego serca wszystkich „takich“ wyekspedyować do dyaska.

Na naiwne „są także tacy“ pana prof. Mazanowskiego, odpowiada poniekąd „Głos“ warszawski. Znajdujemy tu streszczenie pracy L. Berga „Der Übermensch in der modernen Literatur“. Autor wywodzi nadczłowieczeństwo z kultu bohaterów, uprawianego podówczas, „kiedy podstawy społeczeństwa się chwieją, w umysłowem życiu jego panuje fermentacya, a kształty przyszłego ustroju już się wyraźnie zarysowują“. Stwierdza jednak autor, iż obok kultu bohaterstwa, rzeczywiście się ponad przeciętność wybijającego, zdarza się w niepewnych i niezdecydowanych chwilach uwielbienie innego rodzaju „bohaterów“, mianowicie „z czasem każdy cygan, jako kontrast zaśniedziałego filisterstwa wydaje się stworzonym na obraz i podobieństwo nadczłowieka“.

Zawiązek nadczłowieczeństwa, jako krańcowego idealistycznego subjektywizmu tkwi w nauce Kanta, doznaje rozszerzenia w filozofii Fichtego i Feuerbacha, który w swej „Istocie chrystyanizmu“ w ten sposób definiuje stanowisko człowiecze: Człowiek jest stwórcą, a Bóg stworzeniem... Tyle filozofia indywidualistyczna. Działanie jej natychmiast daje się odczuwać w najrozmaitszych dziedzinach życia umysłowego i społecznego. Max Stirner różniczkuje człowieka, jako pojęcie kollektywne, złe i niedołężne wskutek swej ociężałości, i jako „homo singularis“, jako „świeża i niedoskonała jeszcze ale brutalna i nadmiarem sił kipiąca jaźń,“

Do takich rezultatów dochodzi wybujały co prawda, ale konsekwentnie przeprowadzany indywidualizm, kulminujący w nadczłowieku-Zarathustrze.

A p. profesor Mazanowski jowialnie przyznaje, że „są także tacy“ naiwni, którzy na Nietzschego nie patrzą przez szkła, jakie im przyprawili Max Nordau, Jeske-Choiński et tutti quanti. Powiada hiszpańskie przysłowie: no hay peor sordo que el que no quiere oir. (najbardziej głuchym jest ten, który nie chce słyszeć.) Gdyby p. M. zechciał się przysłuchać nieco więcej głosom, dolatującym nas z Zachodu, możeby przecież nieco więcej posłyszał o „takich, którzy“ w myślach nietzscheańskich dopatrują się ewangelii nowego okresu kulturalnego.

Mówiąc o nadczłowieczeństwie i ewolucyi ku doskonałości Nietzschego, a człowieczeństwie i dowodach niedoskonałości prof. Mazanowskiego nie od rzeczy będzie przytoczyć nadzwyczaj trafne i szczerem oburzeniem podyktowane uwagi, jakie „człowieczeństwo Sienkiewicza nasunęło kronikarzowi „Głosu“:

Sienkiewicz z rąk krytyków przeszedł w ręce wzmiankarzy. Jego wielkość stała się dogmatem martwym, któremu nikt nie przeczy, ale który też nikogo nie wzrusza — ani dysputować, ani pisać o niej nie wolno pod grozą utraty opinii i klątwy brukowych pisemek. Jego utwory nie podniecają gorączkowej ciekawości, ale za to jego osoba stała się pastwą reporterskiego gadulstwa i wścibstwa i skarbnicą plotkarskich nowinek. Każda, choćby najbanalniejsza wzmianka o Sienkiewiczu uważana jest przez redakcyę jako dobry towar i z gorliwością, godną lepszej sprawy, spożytkowana dla zapychania szpalt jałowych w treści i bladych w kierunku pisemek. Zdaje się, jakoby krok w krok za Sienkiewiczem uwijała się cała gromadka dziennikarskiego drobiu, podnosząca skrzętnie różne odpadki jego rozmów, strzępki z listów każde mrugnięcie, chrząknięcie, przywitanie, pożegnanie, żywiąca temi okruszynami siebie i swych czytelników. Każdy chyba przyzna, że zbieranie tego rodzaju antologii dowodzi wielkiej bezmyślności.

Objawem takiego „hösickowania“ około osoby Sienkiewicza jest publikowanie jego listu pisanego do redaktora „Czasu“ — listu, który najniezawodniej do druku nie był przeznaczony i który ostatecznie nikogo interesować nie może.

Niepodobna przecież, żeby Sienkiewicz nie uważał się za obywatela kraju, żeby jako taki nie poczuwał się względem niego do jakichkolwiek obowiązków, zatem chyba fakt, że ofiaruje jaką kwotę na ten lub ów cel publiczny, nie powinien być uważany jako rzadkość, jako curiosum godne uwiecznienia. Rozgłaszanie takiego faktu przy huku bębnów i dźwięku trąb jest tylko śmieszne.



EDMUND WALTER.

Muzyczne essays ze Lwowa.

Muzyczne „essays“ ze Lwowa!... Czy to nie curiosum? Po części, zapewne, ale trudno... taki temat dostałem od redaktora, a ponieważ porządnemu dziennikarzowi powinno być „alles Leberwurst“ o czem pisze; będę próbował z kochanego naszego grodu wycisnąć, jak ze starej cytryny jakiś muzyczny ekstrakt...

Czytelnik będzie może zdziwiony trochę tym wstępem. Jakto, panie gryzipiórku? Miałeś przez c a ł ą d r u g ą p o ł o w ę czerwca bezpłatne koncerty uczniów i uczennic pięciuset szkół muzycznych lwowskich, miałeś koncert „Echa“, występy Floryańskiego, masz wycieczkę „Echa“ i chóru akademickiego do miejsc kąpielowych i jeszcze narzekasz?...

Zachowując jaką taką chronologię musimy z porządku rzeczy pomówić coś o popisach naszych pociech domowych, o tych popisach, które są tylu łez przyczyną... łez dzieci, rodziców, słuchaczy, no i... sprawozdawców...

Dlaczego sprawozdawców?... Oj... płaczą oni nieraz, płaczą... lamentują i narzekają... ale cóż... „Vis maior“...

Ot i niedawno, na tem samem miejscu kolega mój (ale to nie ja, słowo daję) wylał cały potok łez nad stanem nauki w naszych *tz.* szkołach muzycznych. Tego *tz.* proszę nie brać za żaden złośliwy docinek, gdyż jasnem jest, że nie wszystkie te instytucye mają tytuł tylko „szkoła muzyczna“...

Jedne mają przydomek „pierwsza koncesyonowana“, drugie „jedyna w kraju“, trzecia „główna“, czwarta „przez c k. Namiestnictwo zatwierdzona“, inne „uznana za najlepszą“ itp.. owóż to słówko *tz.* obejmie wszystkie te, tak rozlicznymi przydomkami opatrzone pokoiki, saloniki i budoary, w których uczą grać na fortepianie i innych instrumentach, albo też śpiewać Panu Bogu na chwałę, a ludziom ku...

Rozweseleniu umysłu!... Zgadłeś czytelniku!... Brawo!... A więc się rozumiemy...

Widzę jednak — powiesz czytelniku — że pan tak piszesz o muzyce, jak Heine, który w swych artykułach o wszystkiem innem raczej pisał, niż o muzyce... A ponieważ wiemy, dlaczego Heine tak robił (znał się na muzyce jak koza na pieprzu), więc konkluzya, że i pan tak kręcisz i kręcisz, aby nam zamydlić oczy i nie dać poznać swej ignorancyi.

Że kręcę... to prawda, ale dlaczego?... Oto dlatego, że u nas jest całkiem inaczej, jak w całym świecie cywilizowanym.

W całym cywilizowanym świecie jest zasadą: „de mortuis nil nisi bene“... ale żywym wolno słowa prawdy w oczy powiedzieć. U nas — przeciwnie... „De viris nil nisi bene“... a o umarłych można sobie czasem coś pozwolić, bo ci już nie zaszkodzą... Ale żywych za to... broń Boże zaczepić!... Nieprawdaż?... Tak mówi prosty chłopski rozum... Żywy się może mścić... umarły nie...

— Czego pan nie strzelał do dzika, panie Silberstein? — pytano raz na polowaniu pewnego Nemroda... — Stał przed panem na piętnaście kroków.

— Po co mi buło zaczepić takie paskudne szwinie? — odpowiedział pytającemu p. Silberstein... I miał racyę.

Więc o czem to mieliśmy mówić?... Aha, o popisach... Doskonale.

— A byłeś pan na wszystkich? — zapytasz mnie czytelniku.

— Za kogo pan mnie masz?... Gdybym był był choćby tylko na połowie, tobym zamiast pisać niniejsze „essays“ już od paru tygodni spacerował po pewnym parku niedaleko Lwowa, za rogatką grodecką, w towarzystwie dwóch panów z nahajkami w ręku.

Nie, panie... Kulparków ma wprawdzie bardzo ładny park i świeże powietrze... ale wolę już zamiast niego nasz rozkopany lwowski.

Byłem jednak na popisach różnych szkół. A więc zaczynajac od instytucyi najpoważniejszej: na publicznym konkursie uczniów tow. muzycznego.

Nowość, zaprowadzona przez dyr. Sołtysa, tj. akompaniament orkiestry i to orkiestry, złożonej z samych prawie uczniów klas instrumentalnych konserwatoryum, zasługuje z pewnością na wszelkie uznanie. Że ta orkiestra na razie jeszcze nam dość uszu nadrapała — to rzecz wytłómaczalna. Nie od razu Kraków zbudowano i z pewnością potem będzie lepiej.

A teraz przechodząc do konkurujących i do wyniku z przyznania nagród, nie możemy się powstrzymać od wypowiedzenia kilku uwag.

Nie ulega wątpliwości, że bicie medalów w tuzinie daleko mniej stosunkowo kosztuje; że mennica cesarska we Wiedniu daje przy wybijaniu medali z większej ilości pewien opust, ale czy wszystkie wybite medale mają być odrazu porozdawane? Czy nie można część schować na drugi rok?... Czem jest medal srebrny jako nagroda Towarzystwa?... Jest... a raczej powinien być najwyższą nagrodą dla ucznia lub uczennicy tak pod względem talentu, jak i pilności stojących najwyżej, bo wyższej nagrody Towarzystwo nie zna.

Jeżeli zaś równocześnie kilku uczni dostaje tę najwyższą nagrodę, mimowoli nasuwa się pytanie: a który z nich najlepszy?

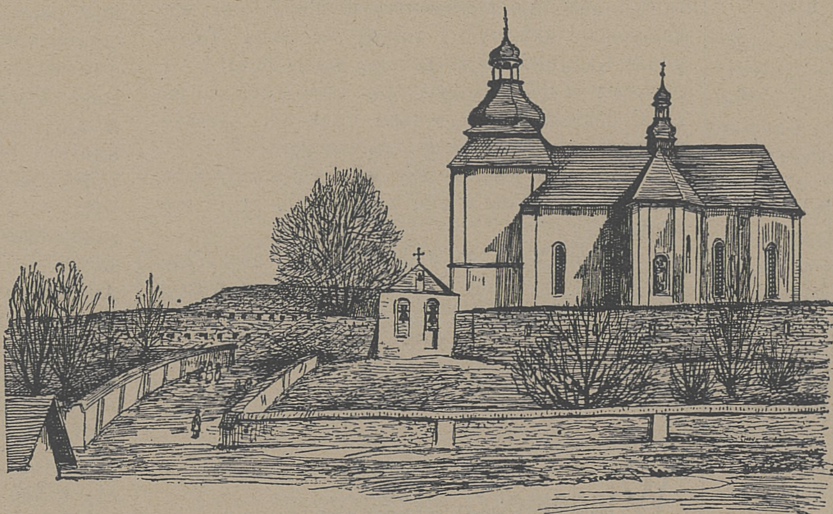
Ilość głosów, jaką rozstrzygnięto przyznanie temu lub owemu uczniowi, mogłaby być jeszcze jakiemś kryteryum, ale i to pozostaje w tajemnicy (tak przynajmniej uchwalono) i tylko niedyskrecyi pewnego członka komisyi zawdzięczać należy, że mniej więcej wie się, jak się zapatrywali pp. sędziowie konkursowi... W zagranicznych konserwatoryach inny jest zwyczaj. Tam jest ustanowioną jedna nagroda najwyższa. O nią ubiegać się mogą wszyscy, którzy ukończyli pierwszy rok z dobrym postępem. Ubiegają się zaś o nią w ten sposób, że każdy wykonuje jeden i ten sam utwór. Wtedy dopiero można należycie ocenić talent i umiejętność konkurentów. Sposób pojęcia i wykonania utworów będzie u każdego inny, ale u któregoś z nich będzie najlepszy i to właśnie mają sędziowie ocenić. Jesteśmy pewni, że każdy z nagrodzonych srebrnym medalem uważa się za najlepszego... no i... niewiadomo, czy nie ma racyi. „Je ne dispose pas, je ne propose pas, j'expose“.

Ponieważ tedy sama komisya nie powiedziała kto jest najlepszym uczniem lub uczennicą, chlubą konserwatoryum — więc i my jesteśmy wolni od wydawania sądu.

Metodę uczenia na fortepianie we Lwowie omawiał mój kolega Alf w jednym z poprzednich numerów Tygodnika, a że nie mogę nie uznać racyi jego wywodów, przeto o tem, jako o rzeczy zbytecznej nie piszę, podnoszę jednak, że wada, o której p. Alf jako o ogólnej wspomina, w konserwatoryum Towarzystwa muzycznego nie przybrała jeszcze tak zastraszających rozmiarów, jak gdzieindziej... Natomiast w klasie prof. Kurza wybitniej występuje inna wada, także omówiona przez mego poprzednika, t. j. za małe pogłębianie granych utworów. Jak bowiem prof. Kurzowi zapewne wiadomo, większa część utworów muzycznych, a szczególniej utwory naszych wielkich twórców nie są sobie pisane tylko tak po to, aby je napisać, ale są tworzone pod wpływem natchnienia, myśli przewodniej, mają treść, którą zrozumieć i oddać należy. A ten właśnie pietyzm w pojmowaniu tego, że tak jest, a nie inaczej, jakeśmy powiedzieli, to właśnie przygotowanie ucznia do należytego pojęcia myśli i treści kompozycyi — należy do profesora... Bo rzadko tylko trafia się u ucznia taka intuicya, która wszystko odrazu odczuwa i myśl kompozytora instynktownie nie jako pojmuje... Tacy uczniowie to wyjątki, a takim nauczyciel jeszcze więcej czasu i swej wiedzy poświęcić powinien niż innym.

Ale i ci inni, którym matka-natura nie udzieliła tego boskiego daru, także powinni znaleść w profesorze podporę moralną — przewodnika w prowadzeniu ich przez labirynt myśli kompozytora... W kompozycyi trzeba widzieć coś więcej, jak same nuty albo linie, przedzielone pionowemi linijkami na takty i to właśnie trzeba u ucznia wpoić zawczasu, bo inaczej będzie on tylko bezmyślną maszyną do odegrania tego lub owego kawałka.

W ocenianiu zdolności ucznia bardzo pomocnem i potrzebnem jest... granie tz. prima vista (vom Blattspielen) granie prosto z nut bez przygotowania. Przy niem daleko łatwiej poznać talent i to nietylko mechaniczny (w szybkości czytania nut), ale właśnie w tem odczuciu ducha kompozycyi. A coś nam się zdaje, że ten właśnie sposób gry zamało jest uwzględnianym w nowych szkołach muzycznych. Kawałek wybębnić na popisie, który się kuje od Nowego Roku, tj. od sześciu miesięcy — to nie jest żadną sztuką i nie daje należytego pojęcia — nadto wyradza popro-


KOŚCIÓŁ W JANOWIE (Tekst na str. 158.)

stu rodzaj rzemiosła i jest utrapieniem całego domu, który ma to nieszczęście, że z łona swego wydał przyszłą wirtuozkę, która na razie po kilkanaście godzin dziennie gra jedno i to samo (przez sześć miesięcy... co za męka!) Ile to czasu się na to traci, nie potrzeba chyba dodawać, ile na tem cierpi cała nauka!... A jednak nie ma nadziei, by było lepiej.. Świat nauczycielski jest za wygodny, aby mu się zechciało co innego robić, jak zwykły szlendryan, a rodzice, rodzina itp., są na tyle niemądrzy, że znoszą kilkumiesięczną mękę za wątpliwej wartości przyjemność ujrzenia swej pociechy w końcu roku na estradzie, oklaskiwanej przez studencików, znających się na muzyce, jak... Heine (patrz wyżej). Ale... we wszystkiem jest myśl ukryta... i taka gruba mama pocąc się w 30 stopniu Reumira, pociesza się nadzieją: „Ach jak moja Lola (Terenia, Nina itp.) dziś ślicznie wygląda... Może się jaki złapie...“

I do tego: „może się kto złapie“, da się sprowadzić niestety cała muzykalność naszych panien.

Powie ktoś: przesada!... Jak Bozię kocham: nie! Proszę tylko posłuchać rozmów tych mam, ciotek i kuzynek zapełniających podczas popisów salę Domu narodnego. Najlepiej podsłuchać... bo jak się zacznie zbyt uważnie przysłuchiwać, mamy się spostrzegają i wzdychając mówią:

— Jakie to śliczne.. Moja Zosia, czy pani uwierzy, gra to dopiero może trzeci raz... bo to nie ma czasu...

No, ale mój Boże — powiecie — tak się mniej więcej dzieje na całym świecie! „Mniej więcej“... tak... ale z tą różnicą, że u nas jest „więcej“, a gdzieindziej „mniej“.

Mój kolega p. Alf utrzymywał w swym artykule złośliwie, że wszystkie szkoły grały na jedno kopyto... Otóż nie!.. Były różnice, a mianowicie: w jednych szkołach grają na popisach tylko z nut, a gdzieindziej tylko z pamięci. Do szkół pierwszej kategoryi należy szkoła Mikulego. Zdziwiło mnie to i spytałem wprost o to jednego z profesorów tej szkoły:

— Dlaczego u was grają tylko z nut?

— A bo nie mamy „pewniaków“ — powiada.

(„Pewniak“ jest to taki uczeń, na którego liczyć można, że pamięć go nie zawiedzie).

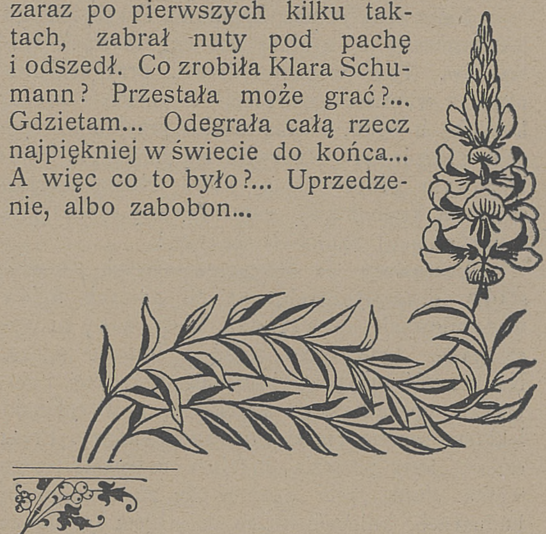
— A chcesz pan wiedzieć, dlaczego nie macie „pewniaków“? — zapytałem go.

— No?

— Dlatego, bo u was grają tylko z nut — odpowiedziałem.

Ot i circulus vitiosus... Grają z nut dlatego, bo nie ma pewniaków, a nie ma pewniaków dlatego, bo grają z nut.

I to jest całkiem naturalne. Uczeń, który nigdy na pamięć nie gra, nigdy „pewniakiem“ nie będzie — on zawsze będzie polegał na nutach i pamięci sobie nie wyrobi. Co więcej — taki nigdy nie będzie grał dobrze, ponieważ nie ma samoistności w grze, a widząc ciągle przed sobą tylko te znaki dynamiczne i objaśnienia co do wykonywania, jakie są tylko w nutach — nie potrafi włożyć w utwór nic ze swojej duszy. Że byli wielcy pianiści i pianistki, którzy nawet przy koncertach posługiwali się nutami, to niczego nie dowodzi — jest to tylko dowodem trwożliwej tremy, której się nieraz najlepsi wykonawcy pozbyć nie mogą. Bülow obracając raz kartki Klarze Schumann, która zawsze grała z nut i twierdziła, że bez nut przed sobą nie potrafiłaby nic zagrać, zaraz po pierwszych kilku taktach, zabrał nuty pod pachę i odszedł. Co zrobiła Klara Schumann? Przestała może grać?... Gdzietam... Odegrała całą rzecz najpiękniej w świecie do końca... A więc co to było?... Uprzedzenie, albo zabobon...



Zabytki dziejowe w Galicyi.

Kościół w Janowie.

Słusznie twierdzi p. Aleksander Bayger w swej monografii powiatu trembowelskiego, że lesista okolica Janowa, miasteczka położonego w tym powiecie nad rzeką Seretem, należy do okolic najpiękniejszych. Minąwszy Podhajczyki, dostajemy się na wyżynę, z której niebawem zniżamy się powoli, potem coraz gwałtowniej, biegnąc grzbietem wydłużonego cypla, który tutaj podolska utworzyła przyroda. Stąd odsłania się widok na Janów, a ścianki okalające miasteczko, występują tam piękniej i wybitniej.

Miasteczko jest starożytnem. Już pod datą 1497. roku (Liske: „Cudzoziemcy w Polsce.) znajdujemy wzmiankę, że tędy pod wodzą mistrza Jana Tiefena zdążali Krzyżacy, jako lennicy króla Olbrachta w jego wyprawie na Wołoszczyznę. W biegu wieków przechodził Janów koleje wszystkich miejscowości, położonych na szlakah tatarskich. Zdaje się, że w wieku XVI. był on przez wrogów spalony i dopiero z początkiem XVII. wieku odbudował się nanowo. To też niewiele tu zabytków z dalekiej przeszłości. Jest jednak kościół starożytny, zasługujący na uwagę.

Świątynię tę fundował w obrębie murów zamkowych w t. 1611. Jan Golski, wówczas kasztelan halicki z żoną swoją, Zofią z Zamiechowa i wyposażył ją hojnie. Kościół poświęcono w r. 1661. pod wezwaniem Św. Trójcy. Jest to gmach, murowany z twardego kamienia, posiada ołatrz wielki, przeniesiony tutaj z monasteru trembowelskiego i cztery ołtarze boczne. W ścianie presbyterym widoczny jest jeszcze nagrobek Gabryela hr. Skarbka i jego małżonki, Tekli z Brzozowskich. Prócz tego nagrobka i tablicy ku pamięci proboszcza, Boskiego i jego wikaryusza, Kłaka, przez wdzięcznych parafian ustawionej, nie posiada kościół żadnych zresztą pamiątek minionej przeszłości. W podziemiach mają się znajdować obszerne grobowce, lecz wchód do nich jest założony kamienną posadzką.



TEATR.

Szukajcie dziecka!

Najnowsza sztuka Zygmunta Przybylskiego jest napisaną specyalnie dla ogródkowych teatrzyków. Tam w cieniu drzew, przy szklance piwa, z wonnem cygarkiem w ustach i uroczą kuzynkę u boku, można wielce przyjemnie spędzić wieczór, przysłuchując się możliwym i niemożliwym głupstewkom, które razem zebrane stanowią krotochwilę, zatytułowaną senzacyjnie i intrygująco: Szukajcie dziecka!

Począwszy od najtragiczniejszych pierwiastków dramatycznych, aż do pustych figlów wodewilowych — wszystkie motywa są tu wyczerpane, byle tylko zająć i ubawić widza. Na korzyść przyprawki melodramatycznej i pieprzyku operetkowego zrzekł się p. Przybylski lekkiem sercem logiki i poczucia miary. Przez cztery akty pozwala ludziom najrozmaitszego wieku, stanu, płci uganiać się po szwalniach, buduarach, kulisach itp. za dzieckiem (biednego wylęknionego „chrobocka" męczono na scenie, że aż żal było patrzeć), aż wreszcie oddawszy go strapionym rodzicom, każe muzyce zagrać marsza tryumfalnego — no, i kurtyna spada.

W Warszawie ludek po takiej „uczcie artystycznej" rozkoszował się dźwiękami muzyki i pił dalej piwo w ogródku — tu szedł do domu z dusznej sali teatru hr. Skarbka, zmęczony na ciele a wcale nie pokrzepiony na duchu.

Dla urozmaicenia sztuki powsadzał autor między akty galeryę „typów", ogranych jak stara katarynka. Jest więc tabesowate baronisko, włóczące się za aktorkami, jest wielomowna „dama z hali" warszawskiej, jest rudy, podtatusiały amator miłostek, jest dyrektor teatralny, ucharakteryzowany jako dyr. Pawlikowski, jest pikantna „panna od kroju", śpiewająca kuplety w przebraniu huzarskiem itd. itd.

Publiczność w dolnych regionach bawiła się pysznie: panowie trzymali się za brzuchy, a panie chusteczkami jedwabnemi tłumiły wybuchy śmiechu; tylko ze sfer bliżej sufitu rozlegały się — rzecz charakterystyczna — częste psykania... *m.*

Debiut pp. Kościukówny i Micińskiej.

Był to jeden z tych szczęśliwych debiutów, o których powiedzieć można, że przysparzają prawdziwy materyał scenie. Panna Jadwiga Kościukówna dowiodła, że rozporządza wszystkimi warunkami na artystkę; obdarzona wielkim nakładem wrodzonej inteligencyi i intuicyi, pokonuje z łatwością niedostateczne wykształcenie aktorskie i rutynę sceniczną. Talent panny Kościukówny skłania się więcej do ról z repertoaru współczesnego, jej temperament nie znosi deklamatorskiego tonu i pełnych okresów retorycznych repertoaru klasycznego.

Materyał jest — czy jednak nie zawiedzie, czy ziści pokładane w nim nadzieje?... przyszłość okaże.

Panna Micińska oddeklamowała swą rólkę. Był to więcej popis deklamatorski, niż występ sceniczny. Zapału też nie wznieciła. *x.*



Wiadomości bieżące.

✕ **Artyści polscy na wystawie wszechświatowej w Paryżu.** Jedyne w swoim rodzaju pismo, informujące nas o tem wszystkiem, co się tyczy Polaków we Francyi, „Bulletin Polonais" wydawane w Paryżu, podaje następujący dokładny spis artystów polskich, którzy wystąpili ze swemi pracami na wystawie wszechświatowej w oddziałach: rosyjskim, austryacko-węgierskim i międzynarodowym. Oto ich lista:

Jan Chełmiński — „Vauchamps" (1814), Jan Rosen — „Gwardya honorowa" (1814), „Kochanek z Hospenthal" (1797); Kazimierz Stabrowski — „Cisza wiejska", Jan Ciągliński — „Życie", Wojciech Gerson — „portret p. K.", Kazimierz Masłowski — „Las" i „Pochód Kazimierza", Hirschenberg — „Żyd wieczny tułacz", Leopold Górski — „Przypowieść o synu marnotrawnym", Adam Badowski — „Portret ks. arcybiskupa P.", Antoni Austen — „Widok na morze Śródziemne z brzegów Katalonii", Stanisław Lenc — „Portret", Roman Szwojnicki — „Portret".

Zygmunt Andrychiewicz — „portret pani M.", Wojciech Piechowski — „Prosesya", Kazimierz Mordasewicz — „Portret hr. X.", Przepiórski — „Studyum", Karol Klopfer — „Los", Józef Rapacki — „Poranek wiosenny", Feliks Słupski — „Portret ks. Radziwiłła", Ignacy Łopieński — akwaforta wedle obrazu J. Matejki „Bitwa pod Warną", Zofia Stankiewiczówna — „Krajobraz", Wacław Pawliszak — „Strzelanie do gełębi", Edmund Lewy — „Portret", Henryk Piątkowski — „Portret", Henryk Weysenhoff — „Śnieg", Ignacy Pieńkowski — „Portret kobiecy", Apolinary Kędzierski — „Praca", Zdzisław Jasiński — „Portret dr. M.", Marya Gażyczówna — „Polowanie na dzika", Wincenty Trojanowski — witryna z seryą medali w złocie, srebrze i bronzie, Kazimierz Wasilkowski — „Pragnienie", Józef Pankiewicz — „Portret", Kazimierz Alchimowicz — „Zapomniany wolny strzelec", Józef Ryszkiewicz — „Śmierć wiwandyerki", Teodor Rygier — „Głowa Fauna" (bronz), Kazimierz Markiewicz — „Las tajemniczy", Franciszek Żmurko — „Gwiazda Betleemska", Wojciech Gerson — „Kazimierz Odnowiciel", Marya Gersonówna - „Mater Dolorosa" (gips).

Władysław Ciesielski — „Portret Mickiewicza", Henryk Kossowski — „Portret" (gips), Józef Mehoffer — „Śpiewaczka", Kazimierz Pochwalski — dwa portrety, Feliks Myrbach — dwie litografie, Feliks Jasiński — trzy akwaforty, Pius Weloński — „Prometeusz" (statua z bronzu), Julian Fałat — „Dojeżdżacze", Myrton Michalski — „Portret", Wojciech Weiss — „Portret rodziców", Włodzimierz Tetmajer — „Wielkanoc na wsi", Jacek Malczewski — „Sen", „Melancholia", „Błędne koło" i „Studyum" (gwasz), Leon Wyczółkowski — trzy portrety, Wojciech Kossak — „Portret cesarza Wilhelma II.", Jan Stanisławski — dwa widoczki, Olga Boznańska — dwa portrety, Teodor Talowski — 12 fotografij z dekoracyj (architektura), Konstanty Laszczka — figura z bronzu, Zygmunt Hendel — fotografie z dekoracyj (architektura), Stanisław Witkiewicz — „Mgła jesienna", i fotografie ze stylu zakopańskiego (architektura), Antoni Kozakiewicz — „Daj chłopcu spokój!" Aleksander Augustynowicz — „Portret własny", Piotr Stachiewicz — „Legenda o N. M. P." (tryptyk), Teodor Aksentowicz — portret własny i 2 pastele, Jan Matejko — „Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka" i Myrton Michalski — dwa portrety kobiece.

Nagrody, jakie sobie zdobyli, przedstawiają się w ten sposób:

Medale złote: Mehoffer (za „Śpiewaczkę") i Myrton Michalski (za 2 portrety).

Medale srebrne: Malezewski (za „Melancholię" i „Błędne koło"), Tetmajer (za „Wielkanoc na wsi".

Medale bronzowe: Badowski (za portret ks. arcybiskupa P.), Gerson (za „Kazimierza Odnowiciela"), Hirschenberg (za „Żyda wiecznego tułacza"), Kędzierski (za „Pracę"), Ryszkiewicz (za „Śmierć wiwandyerki"), Rosen (za „Gwardyę honorową"), Żmurko (za „Gwiazdę Betleemską"), Fałat (za „Dojeżdżacza"), Wyczółkowski (za trzy portrety) i Pochwalski (za dwa portrety).

✕ **Kurtyna Siemiradzkiego.** W salach warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych otwarto wystawę kurtyny, namalowanej dla nowego teatru.

Obecna kurtyna jest już drugiem tego rodzaju dziełem, namalowanem twórczym pędzlem znakomitego artysty.

Pierwszą kurtynę wykończył Siemiradzki przed kilku laty dla teatru krakowskiego; jest ona prawdziwą ozdobą przybytku sztuki w grodzie podwawelonów.

W obu kurtynach obrazy główne osnute są na tematach starożytnego świata, w których Siemiradzki, jak wiadomo, jest nieporównanym mistrzem.

Oto treść kurtyny teatru lwowskiego:

Środek obrazu zajmuje Natchnienie — źródło wszelkiej twórczości artystycznej, przedstawione jako Pythia w chwili wieszczego za-

pału. Z tajemniczych oparów, dobywających się z głębi ziemi, tworzy się i unosi w górę oskrzydlona Wyobraźnia. Druga potęga, równoważąca Wyobraźnię w dziełach świadomej twórczości — Rozum — stoi po drugiej stronie delfickiego trójnogu, wuzbrojeniu Minerwy, z szalą — godłem równowagi w ręku. Za tło dla powyższej grupy służy przybytek Apollina — boga sztuk pięknych i poezyi.

Po prawej stronie, na tle ponurego krajobrazu, widać tłum ludzki, goniący za marami ziemskiego szczęścia: Fortuną, Sławą i Miłością — głównemi sprężynami tragi-komedyi świata. Postać alegoryczna Historyi lewą ręką wskazuje na ten wyścig szalony, w prawej zaś trzyma księgę z wypisanemi na niej słowami „Tak było, tak jest, czy tak będzie zawsze?" Postaci Tragedyi i Komedyi uzupełniają tę grupę.

Po lewej stronie obrazu: kobieta w płaszczu szkarłatnym, wsparta na harfie i wpatrzona w postać Natchnienia, wyobraża Dramat muzyczny (Operę). Dwoistą istotę Opery tłumaczą towarzyszące jej: Poezya (z lirą w ręku i laurowym wieńcem na skroniach) oraz muzyka, przedstawiona jako Syrena klasyczna — pół-ptak, pół-kobieta. Grupę tę uzupełniają: Opera komiczna w postaci młodej uśmiechniętej kobiety, trzymającej lirę ozdobioną maską komiczną oraz Taniec.

Wilhelm Steinitz, szachista wszechświatowej sławy, umarł w Nowym Jorku w szpitalu obłąkanych. W ostatnich trzech latach choroba przyćmiła zdolności Steinitza, przedtem jednak przez lat 30 uważany był za mistrza niezwyciężonego. Początek sławy tego szachisty przypada na rok 1866, w którym odniósł zwycięstwo nad profesorem Andersenem. Dopiero Lasker pokonał Steinitza i położył kres jego powodzeniom na tablicy szachowej.

Katastrofa na morzu. Wśród najpiękniejszej, wysrebrzonej nocy księżycowej, eskadra francuska admirała Fourniera, płynąca w stronę Gibraltaru, uległa zeszłego piątku ciężkiemu nieszczęściu. Łódź torpedowa „Framée", wezwana przez Fourniera, aby zbliżyła się do pancernika admiralskiego „Brennus" celem przyjęcia pewnego zlecenia, skutkiem złego zrozumienia rozkazu swego kapitana Mauduit-Duplessis zetknęła się tak nieszczęśliwie z „Brennusem", że zatonęła niezwłocznie. Pięćdziesięciu ludzi załogi z czterema oficerami znalazło śmierć raptowną. Łódź z niezmierną szybkością poszła pod wodę. Tylko 14 ludzi, znajdujących się na pomoście, zdołało się ocalić. Kapitan i pierwszy oficer nie chcieli wcale się ratować. „Framée" miała siedem dział na pokładzie. Kosztowała ona $1^1/_2$ milj. fr. Oprócz fałszywego steru okazało się, że przyczyną katastrofy był także defekt w maszynie.

SPORT.

Kongres w sprawie samochodów odbył się w Paryżu pod przewodnictwem inżyniera Forestiera. Z Polaków uczestniczyli w kongresie pp. Rychniewski i Szymański. Ministerstwo wojny wydelegowało swego przedstawiciela. Sport samochodowy rozwija się wprawdzie szybko, ale we Francyi samej nie zyskał sobie sympatyi ogółu. Zwolenników i zwolenniczki samochodów, z księżną d' Uzes na czele, nazywają tam „palaczami" i „palaczkami" — *chauffeurs* i *chaufferesses* (jak *Diane chasseresse*). Zarzucają sportowcom, że pędzą po drogach publicznych w swoich *teuf-teuf'ach* z waryacką iście szybkością, pozostawiając po sobie tumany kurzu, odór nafty, lub benzyny, a czasem — przejechanych rannych i trupy.

Mają jednak samochody namiętnych amatorów — i być może, że w przyszłości, gdy udoskonali się budowa samochodów, będą one mogły być użyte w sposób racyonalny i pożyteczny. Sami członkowie kongresu, choć głównie sportsmeni, widocznie sobie z tego zdawali sprawę, bo zajmując się sportową stroną sprawy, utyskując na nudne formalności przy przejazdach przez granice i na skrupulatność policyi, wymagającej zdawania egzaminów z umiejętności powożenia, wiele uwagi poświęcili ważnej sprawie zastąpienia teraźniejszych cuchnących motorów — elektrycznemi, a jeden z nich, pan Périsset, proponował przyznawać nagrody tym pojazdom samoruchowym, które najmniej trzęsą, najmniej robią hałasu i najmniej podnoszą kurzu. Z tego powodu zajmowano się też stanem dróg; wreszcie — sprawą kształtów samochodów, które powinny być jaknajnormalniejsze.

Co do istniejących fabryk samochodów, które wystawiają swoje wyroby w aneksie wystawy w Vincennes, to jednomyślnie członkowie Zjazdu przyznawali palmę pierwszeństwa francuskim.



TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Galic. fundusz krajowy za rok 1899. Ogół wydatków wynosił 10,106.363 zł. Wydatki były wyższe od preliminarza o 423657 zł. Dochody preliminowane w budżecie na 8,676.296 zł., wynosiły 10,066.098 zł. czyli więcej o 379.803 zł. Okazuje się niedobór w kwocie 43.265 zł. pokryty zaliczką z milionowego funduszu upoważnienia kasy krajowej. Zaliczka ta będzie funduszowi temu zwrócona z budżetu na r. 1901.

W poszczególnych rubrykach budżetu znajdujemy następujące cyfry:

Koszta reprezentacyi kraju wynosiły 110.311 zł. o 2.655 zł. wyżej od preliminarza. Koszta zarządu 334.569 zł. (o 924 zł. mniej).

Koszta leczenia ubogich chorych wzniosły 1,190.362 zł. — o 195.362 zł. więcej, niż preliminowano.

Ogół wydatków sanitarnych wynosił 1,347.717 zł.

Wydatki na cele wykształcenia i oświaty wyniosły 3,038.735 zł. o 127.253 zł. więcej, niż preliminowano. Powodem tego wielkiego przekroczenia jest wyższy o 162.773 zł. wydatek na szkoły ludowe. Natomiast na pokrycie niedoboru funduszu emerytalnego szkolnego, wydano o 33.868 zł. mniej od preliminarza.

Utrzymanie pomników historycznych kosztowało 45.000 zł., kwaterunkowe żandarmeryi 247.258 zł.

Wydatki na komunikacje wyniosły 1,s87.512 zł. (o 32.559 zł. więcej) i dzielą się na: drogi 1,244.172 zł. (o 28.760 zł. więcej) i koleje żelazne 443.338 zł. (o 3.799 zł. więcej). W tym wydatku na koleje jest 377.000 zł. na dalszą dotację funduszu kolejowego.

Na szupaśnictwo wydano 22.265 zł. (o 3.734 zł. mniej niż preliminowano.

Na budowy wodne i melioracye wydano zł. 584.920, na cele rolnictwa i górnictwa 640.585 zł., na podniesienie rękodzielnictwa i przemysłu 211.878 zł. (o 13.381 zł mniej).

Wydatek na oprocentowanie i umorzenie długów krajowych wyniósł zł. 1,466.729.

Rozmaite dodatki 344.439 zł. o 67.167 zł. więcej niż preliminowano. Powodem tego przekroczenia jest zakupno gruntu pod budowę nowego skrzydła gmachu sejmowego (od ul. Mickiewicza) co Sejm w roku obecnym zatwierdził.

Stosunek poszczególnych działów do ogółu wydatków tak się się przedstawia: Oświata 30·0 prc. zdrowotność 13·3 prc., komunikacje 16·6 prc., inne cele ekonomiczne 14·2 prc., bezpieczeństwo publ. (żandarmerja, szupaśnictwo, dobroczynność) 2·9 prc., zarząd 4 4 prc., długi krajowe 14·5 prc. inne wydatki 4·1 prc. Razem 100·0 prc.

W dochodach główną rubrykę tworzą dodatki do podatków. Przeniosły one w r. 1899: 6,844.813 zł., preliminowano 6,655.394 zł. dochód przeto był wyższy o 189.420 zł., a „wydatność centa", czyli dochód jednego centa dodatku do podatków, obliczona w budżecie na 110·000 zł. uczyniła 113·130 zł. Krajowe opłaty konsumcyjne, przyniosły 829·081 zł. zamiast preliminowanych 810 000 zł. Dochody z dróg krajowych, obliczono na 278 034 zł., dały 309·396 zł. Nadwyżki dochodów z zakładów dotowanych dały 78.510 zł. o 42·189 zł. więcej. Znaczniejsza jest także różnica w rubryce „rozmaitych dochodów", które dały 732.331 zł. o 64.140 zł. więcej. Dochód ze sprzedaży kart myśliwskich preliminowany na 5.000 zł. przyniósł rzeczywiście 12.918 zł., więc o 7.918 zł. więcej.

Wydatki na szkoły ludowe wyniosły ogółem 4,111.885 zł. z czego na płace nauczycieli wypada 3,525.913 zł. Nie są tem objęte wydatki na szkoły lwowskie, które gmina Lwowa sama, z własnych funduszów pokrywa. Na pokrycie tego wydatku służą: dochody własne funduszu szkolnego 206.391 zł., dodatki do podatków i dobrowolne prestacje gmin i obszarów dworskich 1,011.940 zł., trzyprocentowy dodatek okręgowy 307.690 zł. razem 1,526.021 zł. Pozostaje niedobór 2,587.864 zł., pokryty z funduszu krajowego.

Czy możemy liczyć na zbyt owoców? Jak wzrasta konsumcya owoców w Niemczech przekonują cyfry, podane w „Praktischer Ratgebe".

W r. 1899 sprowadzono do Niemiec:

Jabłek	za	42	mil. marek
Gruszek	„	104	„ „
Wisień	„	18	„ „
Śliwek	„	117	„ „
Jagód	„	22	„ „

Zatem Niemcy wydają za owoce sprowadzone 69 milionów marek w jednym roku, pomimo, że w wielu krajach Niemiec sadownictwo stoi bardzo wysoko.

U nas produkcya własna w mniejszym zapewne stopniu zaspokaja potrzeby miejscowe niż w Niemczech, a przecież właściciele sadów żalą się na trudności zbytu. Winna temu nie nadprodukcya z pewnością, bo do niej nam bardzo daleko, ale zupełna nieznajomość rynków zbytu, stosunków handlowych, wogóle handel zupełnie niezorganizowany.

Związek austryackich przemysłowców korkowych odbył niedawno w Pradze swoje walne Zgromadzenie, na którem po dłuższej debacie postanowiono podwyższyć ceny wyrobów korkowych o 20 procent.

Oprócz tego podwyższenia odpadają także wszystkie rabaty. Powodem tego wszystkiego ma być ustawiczne drożenie węgla i robotników. Wprawdzie popyt na towary korkowe z każdym rokiem wzrasta, jednak przerabianie istniejących zapasów surowego materyału staje się — zdaniem przemysłowców — coraz trudniejszem i kosztowniejszem.



Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.